MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XII. Nr. 26. WARSZAWA, 12 CZERWCA 1932 R. CENA NUMERU 80 GR.

KONIEC MASKARADY

KIEDY po przegranej wojnie wybuchła w Niemczech rewolucja, warstwa rządząca Rzeszy straciła chwilowo głowę. Junkrom pruskim wydało się, że czasy ich minęły, że trzeba się pogodzić z nowym stanem rzeczy, że teraz dochodzi do głosu pogardzana demokracja. Stąd — dopuszczenie do zmiany ustroju, konstytucja Wejmarska, rządy *ex*-rymarza na stanowisku prezydenta Rzeszy.

Nie była to jednak całkowita rezygnacja. Godząc się na republikę i demokrację, wysuwając na plan pierwszy ludzi, odpowiadających „duchowi czasu", prawica mści się w sposób okrutny na przedstawicielach przeciwnego obozu. Jeden za drugim giną z rąk znanych lub nieznanych sprawców przywódcy socjalnej demokracji, demokratów, nie oszczędzono nawet centrowców. Już w roku 1923 naliczył dr. Gumbel w swej pracy o „Mordach Kapturowych" przeszło czterysta morderstw. Mordowali oficerowie w trakcie walki, podczas aresztowania lub poprostu wynajęci oprawcy. Nieliczni z nich trafili przed sądy, a i ci albo zostali ukarani bardzo łagodnie, albo nie odbyli wcale kary.

W tej kampanji morderstw okazała się przewaga po stronie prawicy. Lewica nie zdobyła się ani na odwet, ani nawet na skuteczną obronę swych przywódców. Cały aparat sądowy i administracyjny był po stronie prawicy; szeroka opinja widziała w mordowanych „zdrajców", a w mordercach bohaterów sprawy narodowej. Rządy lewicy stawały się coraz bardziej formą bez treści, teatrem marjonetek. Mechanicy tego teatru towarzyszyli demokratycznym władcom we wszystkich reprezentacyjnych okazjach, lecz, jak mówi von Schoeneich „pełen respektu służbowego brzęk ostróg wojskowych nie mógł zagłuszyć ironicznego śmiechu, towarzyszącego tym ceremonjom".

Prezydentura *ex*-rymarza Eberta była jednym ciągiem ironicznego respektu na zewnątrz i głębokiej, ledwie ukrywanej pogardy, wybuchającej od czasu do czasu skandalicznemi oskarżeniami w prasie prawicowej i pobłażliwemi wyrokami sądów wszystkich instancyj.

Maskarada była jednak potrzebna nawet wówczas, kiedy prawica już zdawała sobie sprawę ze swej przewagi. Potrzebna — dla gry politycznej z Anglją, potrzebna dla kredytowych operacyj w Ameryce, dla uzyskania ustępstw w sprawie reparacyj, dla pozbycia się okupacji francuskiej w Nadrenji.

W kraju, w sprawach wewnętrznych już rządził interes wielkiego rolnictwa. W interesie rolnictwa, a wbrew wyraźnemu interesowi przemysłu i robotnika przemysłowego wznoszono coraz wyższe barjery celne przeciwko tańszym produktom rolnym, aż wreszcie Schiele ustalił program „samowystarczalności" jako podstawę polityki celnej Rzeszy.

Nazewnątrz—Stresemann przemawiał do świata językiem „europejskim", nawewnątrz — tenże Stresemann tłumaczył,—jak się to teraz okazuje z jego dokumentów, — że „wojnę z Polską można będzie zainscenizować w taki sposób, aby nie można było zorjentować się, kto zaczął".

Janusowe oblicze polityki zagranicznej, podwójna gra w polityce wewnętrznej, podwójna gra w polityce gospodarczej: miljardy, pożyczone na wysoki procent, lokowane w inwestycje luksusowe, zbędne lub zgoła bezcelowe — byle nie płacić reparacyj, byle zdobyć dowód, że Niemcy nie są zdolne do płacenia. Dyplomaci i politycy, przemysłowcy i finansiści, — wszystko brało udział w tej grze podwójnej, w tem okpiwaniu naiwnych lub w dostarczaniu argumentów tym, co ich szukali w propagandzie niemieckiej.

Mundus vult decipi. Naiwnych i tych, co za wszelką cenę udawali do końca, wbrew oczywistości, że biorą słowa Stresemanna za dobrą monetę, okazało się aż nadto. Wszystkie niemal cele polityki zagranicznej Niemiec zostały osiągnięte: otrzymano

kredyty, pozbyto się realnych gwarancyj, poróżniono sojuszników, izolowano Francję w sprawie rozbrojenia, a dla celów dalszych polityki niemieckiej przygotowano grunt zarówno w europejskiej jak i amerykańskiej opinji.

Ale też i koszty maskarady były niemałe. Państwo żyło nad stan. Rzucały w błoto pieniądze samorządy. Przedsiębiorstwa marnowały miljardy na nieopłacającą się racjonalizację, na luksus administracji. W niezdrowej atmosferze zbyt łatwego grosza osłabła przysłowiowa oszczędność przeciętnej jednostki, a życie nad stan zachwiało aż podstawami gospodarstwa narodowego. Sześć miljonów bezrobotnych, spadek produkcji do połowy w porównaniu z rokiem 1928, spadek handlu zagranicznego prawie do jednej trzeciej — oto rachunek maskarady gospodarczej.

A masy, którym się na różne sposoby tłumaczyło przez lat dziesięć o krzywdach niemieckich na wszystkich polach, okazały się bardzo pojętnymi uczniami. Nie wystarczy im już ani program socjalnej demokracji w zakresie gospodarczym, ani program polityczny Hugenberga. Hitlerowcy szukają rozwiązań bardziej stanowczych, bardziej bezpośrednich. Już nie wystarcza im społeczna sprawiedliwość, Hitler zapowiada im „bezwzględne i fanatyczne nastawienie w sprawach społecznych". Truciznę stosunków obecnych może, zdaniem jego, zniszczyć tylko inna trucizna. To wszystko, co czyniono dotychczas w polityce zagranicznej, jest również niewystarczające dla Hitlera: niewystarczające granice przedwojenne, niepotrzebna polityka germanizacyjna, — „trzeba powrócić do metod z przed sześciuset lat". Trzeba wytrzebić międzynarodowe żydostwo, „wystawiając je na gniew narodów". Trzeba opanować cały wschód Europy, a w oparciu o sojusz z Anglją i Włochami „rozprawić się z hańbą białej rasy, zażydzoną i pomieszaną z murzynami, Francją."

Kilkanaście miljonów zwolenników tego programu — oto druga strona rachunku politycznej i gospodarczej maskarady.

To wszystko, co się kryło po organizacjach mordów kapturowych, co osłaniano skrzętnie przed okiem Europy i Ameryki, teraz, ośmielone, powychodziło z ukrycia i śpieszy powetować sobie dziesięcioletnią przymusową wstrzemięźliwość.

Czy wszystkie te hasła odpowiadają planom aranżerów teatru marjonetek, czy nie zadaleko posuwają się, zwłaszcza w polityce wewnętrznej? Jest rzecz bardzo wątpliwa, ażeby sfery konserwatywnego ziemiaństwa i junkrowie pruscy planowali dalszą maskaradę socjalną, aż tak dalece posuniętą. Raczej przypuszczać należy, że dla generała Scleichera i barona Gayla cały program socjalny ruchu hitlerowskiego jest rzeczą nie przewidzianą w ich planach. A że względy na opinję już nie krępują, że zdaniem kół nacjonalistycznych można już sobie pozwolić bezkarnie na zrzucenie maski, więc mamy koniec maskarady. Mechanicy i reżyserzy wchodzą sami na scenę.

Jesteśmy skłonni widzieć w życiu politycznem Niemiec przewagę zimnej rachuby nad uniesieniem czy namiętnością polityczną. Szukamy w ich posunięciach wyniku obliczeń, wykonania planu. Inaczej oceniają w tej dziedzinie Niemców pisarze polityczni włoscy. Mają nawet specjalny termin, charakteryzujący niezręczność polityczną Niemców: *Insipidezza teutonica*. Jakie znaczenie ma mianowanie byłego *attaché* wojskowego w Stanach Zjednoczonych, tak głośnego w świecie anglosaskim ze swej karjery nieco groteskowej, ocenianego przez samych Niemców bardzo niepochlebnie? Zaraz po powrocie z Ameryki w roku 1916 został von Papen nagrodzony awansem i wysokim orderem, pomimo wszystko, co o nim wiedziano i pisano. Czy te same wpływy nie były czynne teraz, przy jego powołaniu na stanowisko Kanclerza Rzeszy?

Zapewne w sferach decydujących powiedziano sobie, że niema potrzeby liczyć się z tymi „idjotycznymi jankesami", jak to przed laty 17 pisał obecny kanclerz, że trzeba im poprostu powiedzieć, żeby „trzymali język za zębami".

Świat zna Niemcy od strony intelektualnej. Wszyscy wiemy o wysokim poziomie ich nauki medycznej, o rozwoju nauk ścisłych. Znacznie mniej wiemy o tem, że w ojczyźnie Virchowa jest bardzo rozwinięte i cieszy się wielkiem powodzeniem znachorstwo, że w Berlinie odbywają się regularnie kongresy... astrologów.

Urzędowa wiedza polityczna i gospodarcza Niemiec współczesnych zawiodła. Sukcesy na polu polityki zagranicznej opłacone zostały klęskami w życiu wewnętrznem. Cóż dziwnego, że masy odwracają się od urzędowej medycyny i szukają ratunku u Hitlera.

Maskarada niemiecka skończyła się. Marjonetki odstawiono w kąt. Na scenie będziemy mieli odtąd już znanych sprawców i właściwych reżyserów ostatnich lat dziesięciu historji niemieckiej. Ustaje dwujęzyczność polityki zagranicznej Niemiec. Stresemann *redivivus* ukazuje się w całym splendorze swej korespondencji z Hohenzollernami. Kończy się komedja złudzeń anglosaskich.

W polityce wewnętrznej Niemiec rządy byłego *attaché* wojskowego nie zwiastują bynajmniej ery pokojowej, ani dla koalicji „stronnictw wejmarskich" ani tem bardziej dla bezpośrednio zagrożonych a tak wpływowych w Niemczech żydów. Niemiecka *Unversoenlichkeit* będzie miała pole do popisu podczas przyszłych wyborów.

Koniec maskarady niemieckiej wzmaga odpowiedzialność po stronie polskiej. Jeżeli można było jeszcze znaleźć jakieś okoliczności łagodzące dla polskich złudzeń w sprawie niemieckiej, dziś wątła ta możność odpada. Sytuacja jest aż do prymitywnej brutalności jasna. Nie można już powoływać się na Steresemanna, który mówił w r. 1924, że Niemcy nie chcą i nie mogą prowadzić wojny z Polską. Nie chciał, co prawda, wytłumaczyć, czy nie chcą dlatego tylko, że nie mogą... Dziś jednakże już i sam Stresemann przysyła nam komentarz autentyczny z za grobu i obecni kierownicy polityki niemieckiej dają pełną rękojmię, że się nie cofną przed żadną sposobnością zakłócenia pokoju z Polską.

Możemy sobie dyskutować nad tem, czy to będzie wojna regularna czy akcja „band", możemy rozważać, skąd przyjść to może: od Prus czy od Gdańska, lecz nie wolno już zaniedbać gotowości.

Maskarada się skończyła.

STANISŁAW ZIELIŃSKI

DORAŹNE CELE HITLERYZMU

HITLER nie został wybrany prezydentem Rzeszy Niemieckiej, stronnictwo jego nie uzyskało bezwzględnej większości w sejmach niektórych krajów związkowych. Wydarzenia wyborów niemieckich zapadają w przeszłość, opinja polityczna na Zachodzie wciąż jeszcze zastanawia się, jak nad zagadką, nad zakrawającą na tragiczny żart ewolucją polityczną Niemiec, gdzie parę lat temu feldmarszałek Hindenburg był symbolem skrajnych uroszczeń odwetowych, gdy dzisiaj ten sam człowiek uważany miał być za ostoję umiarkowania i obrońcę pokoju.

Klęska Hitlera, przy wyborach Prezydenta Rzeszy, oglądane w świetle ostatnich wydarzeń, schodzi do rzędu epizodów wewnętrznych walk politycznych niemieckich; napewno nie różnice w poglądach zasadniczych na przyszłe kierunki rozwoju niemieckiej polityki zagranicznej w tym wypadku były słabością narodowych socjalistów. Że innym był język Brüninga, że innym był język Stresemanna, jeszcze inaczej przedstawiają w tej chwili Schleicher i von Papen — wszystko to nie zmieni faktu, iż pod programem podboju świata przez Niemcy, otwarcie z brutalnością murarza, którym był niegdyś, przez Hitlera wypowiedzianym — podpisze się każdy Niemiec.

Program ten wyłożył Hitler jasno i, z niemieckiego punktu widzenia, niezmiernie przekonywająco, w książce swej „*Mein Kampf*“, pisanej lat temu siedem w zaciszu więziennem twierdzy Landsberskiej, kiedy nie myślał jeszcze o wysyłaniu agentów na rozmowy z obcemi rządami, ani też nie potrzebował dawać prasie zagranicznej uspokajających wywiadów.

Warto przypomnieć teraz testament polityczny Hitlera, (tak sam on niekiedy swe główne myśli nazywa, nie tylko dla negatywnego celu — podrażnienia czujności opinji polskiej, lecz i dla wyciągnięcia pozytywnej nauki.

Hitler w rozdziale 4 tomu pierwszego swej książki, w dziale zatytułowanym „Cztery kierunki polityki niemieckiej“, stwierdziwszy, że przyrost ludności w Niemczech sięga 90.000 rocznie i że bez zmiany warunków egzystencji narodu niemieckiego grozi mu śmierć głodowa (nie aby nie miał czego jeść, ale za co) — widzi cztery sposoby odwrócenia niebezpieczeństwa. „Można”—mówi autor—„wzorem Francji, sztucznie ograniczyć zwiększenie narodzin i w ten sposób uniknąć przeludnienia“. „Można obrać drugą drogę—kolonizacji wewnętrznej“. „Można wreszcie bądź nabyć nowe ziemie, aby tam usuwać corocznie narastające miljony, i w ten sposób utrzymać zasadę samowyżywienia się narodu lub też (czwarta możliwość), stworzyć przemysł i handel na obce potrzeby i z dochodu stąd zyskać środki do życia.” W pierwszym środku widzi słusznie Hitler klęskę narodu niemieckiego, mówiąc, iż kto ten środek doradza, rabuje narodowi niemieckiemu przyszłość, gdzieindziej zaś, mówiąc o małżeństwie, podkreśla, iż nie jest ono samo w sobie celem, ale służy wyższemu celowi—zwiększenia i utrzymania rasy i narodu [1]). Przyznając ewentualną skuteczność drugiemu środkowi — pogłębieniu kolonizacji wewnętrznej — czyli lepszemu wyzyskaniu produktywności czynników naturalnych — oświadcza Hitler, że droga ta winna być użyta nie dla utrzymania naturalnego przyrostu ludności, lecz dla usunięcia przeciwieństw socjalnych, a na tem przedewszystkiem polega działalność, mająca na celu „unarodowienie narodu“ [2]). Pozostaje zatem, albo polityka podboju ziem, albo polityka handlowa i kolonjalna. Przyjąwszy na chwilę tę ostatnią ewentualność, czyni Hitler niezmiernie trafną dygresję historyczną, że przedwojenna polityka niemiecka była sama ze sobą w sprzeczności, wzbogacając bowiem stan posiadania w kolonjach i budując flotę dla obrony nabytych ziem — jednocześnie nerwowo starała się o względy angielskie. Lepiej było, raz już zdobywszy się na politykę kolonjalną, starać się o względy choćby i Francji, ale przedewszystkiem Rosji, naturalnej sojuszniczki przeciwangielskiej. Porzuca jednak rychło ten tok rozumowania, stwierdziwszy: „*Noch niemals wurde ein Staat durch friedliche Wirtschaft gegründet*“.

Zakończywszy na tem rozważania wstępne, w drugim już tomie, „*Mein Kampf*“u“[3]), stanowiącym właściwy wykład przyszłej polityki hitleryzmu, mówi otwarcie, że tylko „wzmocnienie kontynentalnej potęgi Niemiec przez zdobycie nowych ziem w Europie“ było i jest właściwym kierunkiem polityki niemieckiej, oczywiście nie idzie autorowi o zdobycie granic z r. 1914, które nie były wynikiem „przemyślanego działania politycznego, ale granicami przypadkowemi“... „domaganie się przywrócenia tych granic jest politycznym nonsensem“ [4]). Czyim kosztem odbędzie się zatem to powiększenie ziem niemieckich?

Odpowiedź na to daje już tytuł rozdziału 14-go „*Ostorientierung oder Ostpolitik*“, gdzie Hitler po uzasadnieniu historycznem oświadcza, że „mówiąc dzisiaj o nowych ziemiach w Europie, myśleć można przedewszystkiem o Rosji i poddanych jej krajach ościennych“. A zatem o Rosji, Polska to tylko „*Randstaat*“, nawet nie wspomniany tutaj z imienia i raz tylko w całej książce nazwany „kolonją francuską“.

Oto jest brutalne, ale szczere postawienie sprawy; rozumowanie nie pozbawione tragicznej prostoty, ujęte w hasło: „Nie uważajcie Rzeszy za bezpieczną, dopóki nie będzie ona mogła dać każdemu Niemcowi kawałka ziemi. Pamiętajcie, że najświętszem prawem na tym świecie jest prawo do ziemi, którą się chce samemu uprawiać, a najświętszą ofiarą krew, którą się za tę ziemię przelewa”.

Dla ludzi, którzy otwartemi oczami patrzą na rozwój wypadków dziejowych oczywiście zarówno łańcuch logiki Hitlera jak i wniosek ostateczny nie są żadną niespodzianką, nie są nią zwłaszcza dla Polaka.

Jakże jednak blado, jak nikle w zestawieniu z tem wyznaniem wiary, które bez zastrzeżeń podzieliło trzynaście i pół miljona Niemców (trzynaście i pół miliona dorosłych

[1]) T. I. R. 10. Cytaty według wydania VII-go 1931 r

[2]) T. I. R. 2
[3]) R. 13
[4]) R. 14

Niemców, ile miljonów wychowanych w tej wierze jeszcze dorasta?) — wygląda poczucie instynktu samozachowawczego w Polsce, jak wygląda polska myśl polityczna i polityka zagraniczna ostatnich lat?

Istnieje wprawdzie w ogromnej większości społeczeństwa zdrowe przekonanie, że Niemcy są bezwzględnym, bezkompromisowym wrogiem Narodu Polskiego, wielu jest jednak jeszcze, którzy marzą o możliwości zgody lub, co gorzej, spekulują na doraźne zyski na tej zgodzie. Wszystkim zaś, prócz nielicznie narodowo uświadomionych jednostek zarzucić można lęk przed wyciąganiem wniosków z ustosunkowania się Niemiec do Polski. Mimochodem, dla ilustracji, do jakiego stopnia doszedł brak zainteresowania przyszłością polityczną Narodu, zwłaszcza w stosunku do Niemiec — przypomnieć trzeba nikłe bardzo zajęcie się opinji publicznej wynikami spisu ludności, przyrostem naturalnym; a przecież przyrost ten stanowi jedną z gwarancyj odporności w przyszłości.

Nie jesteśmy tutaj powołani do szkicowania jakichś szerszych myśli politycznych, ale najkrótszy choćby komentarz do wywodów Hitlera ciśnie się pod pióro, które przed chwilą skreśliło zarzut lęku w wyciąganiu wniosków, zwłaszcza, że Hitler sam w tem zadaniu pomaga. Wygłasza on jakże słuszną maksymę: „Dyplomacja winna mieć staranie o to, aby naród nie musiał ginąć heroicznie, lecz aby praktycznie ocalał. Każda droga, prowadząca do tego celu, jest pożyteczna, a jej zaniechanie musi być uznane za występne zaniedbanie obowiązku“ [5]). Otóż właśnie, polska myśl polityczna coraz szerzej i głębiej powinna zdawać sobie sprawę z nieuchronnej walki na Zachodzie, pielęgnować i cenić sojusze, które w tej walce pomogą i, więcej jeszcze — oglądać się za nowemi. Znowu Hitler zdaje się sam do tego drogę wskazywać, kierując przyszły zwycięski pochód niemczyzny do Rosji, i zaklinając Niemców, aby w zmienionych warunkach zbyt naiwnie nie naśladowali polityki sojuszu z Rosją Bismarcka. Trudno o lepsze polecenie sojusznika Polsce, podobnie jak trudno o wyraźniejsze ostrzeżenie co do stosunku innych państw do planów Hitlera, niż to, które także on sam podaje.

Rozejrzawszy się mianowicie po Europie[6]), dostrzegł śmiertelnego wroga Niemiec Francję, na wschodzie państwa, którym zabrać trzeba ziemie dla Niemców, oraz dwóch ich sojuszników naturalnych— Anglję i Włochy. Anglję z uwagi na wyznawaną przez nią zasadę równowagi europejskiej i Włochy— zawsze niechętne Francji, a ożywiona bliskim niemieckiemu duchem podbojów (dla przyjaźni z Włochami otwarcie poświęca Hitler 200.000 Niemców tyrolskich). Jeżeli nawet, w dalszej przyszłości, wierzymy w to, zawiodą Niemców spekulacje na krótkowzroczność angielską (już raz tak się stało), zanadto naruszona zostanie szala równowagi europejskiej, a Włochy porzucą myśl o panowaniu nad Afryką i morzem Śródziemnem i bardziej pomyślą o współdziedzictwie łacińskiem — to jednak czujność polska powinna być obudzona. W każdym razie zaś podziwiać należy dzisiaj dar przewidywania, a raczej zrozumienie nieubłaganej logiki wypadków przez polityka samouka.

Oczywiście, nie trzeba Hitlera na to, aby w Polsce zdawano sobie sprawę ze znaczenia sojuszu z Francją, ze stosunku Włoch i Anglji do niemieckiego programu wschodniego i z doniosłości głosu Rosji w tej sprawie, ale, mówiąc szczerze, czy wiele się o tem w Polsce myśli i pisze, czy społeczeństwo ogarnięte jest dostatecznem zrozumieniem przyszłości, która nas czekać może i czy robi się cośkolwiek dla stworzenia konstruktywnej, czynnej, a nie deklaratywnej i biernej polityki zagranicznej?.

Niestety, hitleryzmu nie można zbyć anegdotą „feldweblu z Passawy“, a planów niemieckich odwrócić—odwróciwszy się do nich plecami.

ANDRZEJ MARCHWIŃSKI

[5]) T. II. R. 3

[6]) T. II. R. 14

SALON KRAKOWSKI NA PRZEŁOMIE DWÓCH STULECI

(KRAKÓW PRZED TRZYDZIESTU LATY)

ZASTRZEGŁEM się był już parokrotnie w ciągu tego opowiadania [1]), że nie pretenduję bynajmniej do narysowania nawet w przybliżeniu pełnego obrazu starego Krakowa. Powtórzyć muszę zastrzeżenie tej treści — zwłaszcza wobec mnożących się w ostatnich czasach publikacyj i zainteresowania się rodzinnem mojem miastem — także w odniesieniu do jego *fin de siécle* — salonów. Wybieram *ce que mes yeux ont vu*:

Wieczorami schodziło się w salonie moich ciotek i ojca (na Szpitalnej, w domu dawniej Skorupków, dzisiaj Raczyńskich) całe grono dalszych i bliższych znajomych, swoich a nieraz i cudzoziemców. Ze swoich — najczętszymi bywali gośćmi wspomniani juz wyżej w tekście: Edwardowie Raczyńscy, Stanisław Tarnowski, Henryk Sienkiewicz, Stanisław Tomkowicz, Jerzy Mycielski, Ojciec Pawlicki, Ojciec Morawski, Wilhelm Creizenach, Konstanty Górski, Marjan Sokołowski, Stanisław Smolka, Marjan Zdziechowski, Karol Potkański, Jacek Malczewski, Władysław Żeleński, Bolesław Ulanowski, a dalej : Jan i Paweł Popielowie, Andrzej Potocki, redaktorowie „Czasu“ : Ludwik Dębicki, Michał Chyliński, Antoni Beaupré, Rudolf Starzewski, Stanisław Kopernicki; Lucjan Rydel, Władysław Łoziński, Bronisław Kader, Bolesław Wicherkiewicz, Adam Miodoński, Aleksander Brückner, Jan Bołoz-Antoniewicz, Wincenty Lutosławski, Józef Kallenbach, Stanisław Witkowski, Piotr Bieńkowski, Józef Milewski, Edmund Krzymuski, Kazimierz Kostanecki, Ludwik i Piotr Górscy, Adam Siera-

[1]) p. „Myśl Narodowa“ z 30 sierpnia, 20 września z. r. i 3 kwietnia b. r.

kowski, Kazimierz i Franciszek Chłapowscy, Emeryk Hutten-Czapski, Władysław Zamoyski z Zakopanego, Konstanty Przewłocki, Aleksander i Leon Mańkowscy, Jan Żółtowski, August Cieszkowski (młodszy), Adam Czartoryski, Stanisław -Henryk Badeni, Józef Kotarbiński i wielu, wielu innych.

Osobną wśród gości rubrykę stanowił kler, jako że moja ciotka Konstancja była gorącą „matką Kościoła". Widywałem więc w gościnie, bądź u niej, bądź u ojca mojego, bądź dawniej jeszcze u obu moich babek: kardynałów Dunajewskiego i Puzynę, późniejszego kardynała Dalbora, arcybiskupa warszawskiego Popiela, późniejszego arcybiskupa poznańskiego Likowskiego, późniejszego arcybiskupa mohylowskiego Roppa, późniejszego biskupa przemyskiego Pelczara, prałatów Starowieyskiego, Chełmickiego i Chotkowskiego, Redemptorystę O. Bernarda Łubieńskiego, Jezuitów: Badeniego, Bratkowskiego, Morawskiego i t. d.

Rozmowa toczyła się bardzo wartko, podniecana żywotnością ciotki mojej, błyskotliwością umysłu jej braci. Tematy poruszane były najróżnorodniejsze. Słyszałem więc „pana Edwarda" (Raczyńskiego), opowiadającego o swoich amerykańskich i azjatyckich podróżach, Sienkiewicza—już po „*Quo vadis*", i po „Połanieckich", co poruszyły były Kraków zrozumiałemi dla niego bezpośrednio osobistemi w nich aluzjami, a w dobie pisania chciwie przez nas właśnie wyczytywanych „Krzyżaków",— jak dźwięcznym niby metal głosem wsłuchującemu się w ten głos audytorjum kreślił barwnie zawsze podawane szczegóły z własnej biografji. Tarnowski, w liczniejszem zwłaszcza gronie, milczał najczęściej zażenowany, wybuchowy za to siostrzeniec jego Mycielski, Tomkowicz oraz Sokołowski lubili ze swojej strony dużo mówić, najskwapliwiej zaś o artystycznych wojażach, zabytkach i wystawach. Creizenach dostarczał anegdotek, najchętniej ze świata żydowskiego, przyczem duże usługi mimiczne oddawał mu własny typ semicki. Ojciec Pawlicki jadł dużo wykładał chętnie na jakiś zgóry obrany temat, nie bardzo lubiąc, by mu przerywano, a w późniejszych latach życia wypoczywał po jedzeniu i drzemał nawet. Ojciec Morawski biegał nerwowo po pokoju, a z nim rozbiegiwały się nieskoordynowane członki chorego jego organizmu. „Kocio" Górski słowa cedził, ważył, cyzelował, od czasu do czasu zacytował z przejęciem jakiś wiersz, napozór wyglądał zrównoważony, pogdny, zręcznie i życzliwie wtrąconem słówkiem łagodził impety i furje kolegów po fachu: Mycielskiego i Sokołowskiego. Smolka prawił w tym salonie o swojej pracy twórczej, związanej z historją Lubeckiego, o przybranej sobie za drugą ojczyznę Litwie, o umiłowanej przez siebie trzeciej ojczyźnie Austrji. Zdziechowski — nieśmiało wyrażał subtelne i przemyślane sądy o rewolucjonizowanej właśnie po raz pierwszy Rosji. Potkański wydawał się, jak na przecudnym portrecie kuzyna — Malczewskiego, żywem uosobieniem ambulującego sceptycyzmu. Ulanowski, gdy czasem się zjawił, chrypliwym głosem poruszał myśli najciekawsze w formie nader arbitralnej a z wielką w treści erudycją. Inny erudyta — domorosły, — Jan Popiel, charakterystycznie się jąkając, cedził esencje mądrości szlacheckiej, ultrakatolickiej, która go nawet do pochwał inkwizycji zachęcała[2]). Mniej od niego jednolitym i zrównoważonym był jego brat, profesor Paweł. Filolog Miodoński udzielał nam skarbów swej miodopłynnej iście wymowy i głębokiej znajomości starożytnego chrześcijańskiego świata. Rydel gadał bez przerwy i bez końca, nigdy natomiast bez potrzeby i głębszego uzasadnienia rozwijający się dopiero Rudolf Starzewski. Zabawnie i z życiem fantazjował chirurg — Litwin, Kader, a wił się i epatował paradoksami barokowy Ormianin Antoniewicz. Pontyfikował od czasu do czasu stary prezes Ludwik Górski z Warszawy, „Zbąski" ze „Sprawy Dołęgi" Weyssenhoffa, „plastronował" jego siostrzeniec, polityk krakowski, garbaty Piotr Górski, pełen tajemnic i arkanów, o którym słusznie mawiał Klaczko, że „*jusqu' au bonjour il le dit à l' oreille*". Rozkoszny a frywolny zachodnio— Prusak, podróżnik, a drugi obok Raczyńskiego zięć „Baranów", Adam Sierakowski, miał zawsze w zanadrzu swojego mózgu do dyspozycji jakąś osobliwość przewiezioną z podróży, lub conajmniej jakiś zachwyt dla płci pięknej. Stary pan Kazimierz Chłapowski, syn generała, żył wyłącznie w świecie jeszcze powstania listopadowego, znał każdą z tych czasów bitwę i każdą ważniejszą osobę, a zamiłowanie to przekazał synowi i imiennikowi — późniejszemu historjografowi wyprawy litewskiej dziada. Szwagier Kaz.mierza Chłapowskiego, doktór Franciszek, genjalny djagnosta, palił za to gośno i bez żadnych obsłonek, w rozpędzie zapału profesjonalnego, najświeższe a drażliwe czasem, prawdy i teorje medykalne. Chłapowscy przyjeżdzali z Poznańskiego, z Litwy czy raczej Białorusi organizujący tu wówczas muzeum swoje Emeryk Czapski, z żoną, protestantką, Meyendorffówną z domu, potomkinią znanego dobrze w Polsce Stackelberga. „Księstwo" reprezentowali jeszcze liczni i licznemi związani z moją rodziną węzłami, dużego dorabiający się wtedy majątku i oznacznej pozycji Żółtowscy, a obok nich inny miljoner, August Cieszkowski, syn filozofa, człowiek zresztą o biblijnym zakroju i sposobie wyrażania się, potentat pamięci, a zarazem wydawca i tłumacz dzieł swojego ojca. Odgłosy Podola przywoził osiadły w Krakowie podczas pierwszej rewolucji rosyjskiej powieścio — i komedjopisarz Aleksander Mańkowski, żonaty z piękną i uroczą Włoszką, księżniczką di Carpegna-Falconieri. Częsty bywalec miejscowy, jeden z najdawniejszych redaktorów „Czasu", Ludwik Dębicki, opowiadał ciekawie, lecz niezawsze dokładnie o starych czasach i starym Krakowie, przyczem od ojca mojego, pedanta naukowej ścisłości, obrywał nieraz, jeżeli nie za swoje własne, to przynajmniej za „Czasu" błędy korekty i faktyczne przewinienia[3]).

[2]) Wspomiałem już był wyżej, że dom Popielów uchoidzić mógł za kolekcję szlacheckich arcyrarogów. Po śmierci starego pana Pawła berło wśród nich objął z pewnością ów pan Jan. Chrześcijaństwo jego cechowała — jak u wszystkich pono członków tego rodu — średniowieczna jakby pogarda śmierci, oparta na chłopskiej prowdziwie prostocie. Jej przykładów cytowało się sporo, jak chociażby, kiedy przed jednę z rezydencyj wiejskich Popielów zajechał był pan Jan z trumną, przeznaczoną dla brata, podczas kiedy ten brat, dobrze jeszcze żywy i siedzący w oknie, mógł się przypatrywać owemu pogrzebowemu iście widokowi — lub też, kiedy do karawaniarza na pogrzebie innego brata wołał był Jan, podpierając kroczącą za zwłokami matkę: „Powoli tam z panem Marcinem, bo matczysko nie nadąży!". Z takich to rysów, którym pokrewne cytuje we wspomnieniach swojej młodości Lucjan Rydel, mógł był korzystać Sienkiewicz do konstrukcji typów swoich szlacheckich w „Krzyżakach".

[3]) Od takich *lapsusów* roiło się w pismach Dębickiego, który opowiadał czytelnikom o ks. Józefie, tonącym w nurtach Elby, o swoich obserwacjach „nadodrzańskich",

Andrzeja Potockiego, późniejszego namiestnika, słyszałem był kiedyś, wielkanocną porą, opowiadającego swoje wrażenia z walki byków, kiedy był *attaché* poselstwa austrjackiego w Hiszpanji. Władysław Zamoyski, syn generała, rozpierany „puchliną szlachecką“ idealista, pienił się zawsze na wszystko i wszystkich, a osobliwie na Austrję, na żydów, na władze miejscowe, nieraz słusznie, choć tą porywczością sprawom szkodził. X. Jan Badeni referował dojrzewające coraz bardziej kwestje społeczne na tle badanej przez siebie nędzy krakowskiej. Lektor języka angielskiego w uniwersytecie, Dziewicki, opowiadał o emigracji polskiej w Anglji i wogóle o tamtejszych stosunkach, podobnie jak autor cennych „Wakacyj w Anglji“, Tadeusz Smarzewski.

Bywał także filozof Lutosławski—przed intoksykacją, jakiej podlec miał w Krakowie, na katedrze swojej „wykładów jagiellońskich“, tak częstą i szkodliwą w Krakowie intoksykacją popularności. Doroczne posiedzenia „Akademji Umiejętności“, na których bywaliśmy stale, sprowadzały do salonu mojej rodziny szereg także gości z uniwersytetu lwowskiego. Z miejscowych jeszcze — zjawiali się dość często: jowjalny prałat — polityk Chotkowski, złotousty retor Milewski, prawnik Krzymuski, „prozaik polski i francuski“ — jak o nim pisał był satyrycznie „Kocio“ Górski, aludując do jego przesadnej francuszczyzny, a który zasłynął podczas jubileuszu cesarskiego w r. 1898, obfitującego w deszcz odznaczeń, kiedy to, udekorowany Orderem Żelaznej Korony III klasy, powziął był pomysł urządzenia zbiorowej uczty dla udekorowanych, jak on sam, kolegów, przy której podobno wszyscy nowokreowani kawalerowie orderów usadzeni zostali na wyższych i ozdobniejszych fotelach, niż reszta zaproszonych śmiertelników. Z malarzy — Malczewski wyłaniał się rzadko, frapował swojemi dziwactwami, ale nieraz rozmawiał wymownie i interesująco, kiedy np. — pamiętam — uświadamiał mnie z zapałem na punkcie znanej mu z młodzieńczych studjów jego w Paryżu, niedosyć zaś ocenianej w ówczesnej Polsce, przysłowiowej pracowitości Francuzów. Siostrzeniec domu, Józef Plater, znany dobrze całej Warszawie ze swego humoru i facecyj, a studjujący (?) wtedy w Krakowie, przyprowadzał od czasu do czasu dla ożywienia atmosfery bawiących lub bawiących się z nim młodych ludzi: był wśród nich Stanisław Henryk Badeni, syn marszałka Galicji, chodząca już nie encyklopedja, ale „Gotha“, połączona z krakowskim schematyzmem „Czecha“ w jednej osobie, umiejący wymienić po imieniu i nazwisku wszelakich posłów do parlamentu i sejmu, ministrów, ba! nawet aktorki. Towarzyszyli im czasem: ordynat Adam Czartoryski, syn Orleanki, Adam Tarnowski bodaj, późniejszy ambasador, młodzian hardy i ponury, a napewno dramaturg ówczesny, Bohdan Ronikier, którego pamiętam dobrze, stojącego przy fortepianie w monoklu na oku i w trzewikach z nieprawdopodobnemi kokardami.

Kwestje aktualne wywoływały przeciągłe nieraz a namiętnie dyskusje. Omawiało się z redaktorem Mycielskim każdy numer „Przeglądu Polskiego“ *post* i *ante factum*, omawiano budzące sensację, a czasem zdziwienie, rozpoczynające się właśnie impresjonistyczne wystawy „Sztuki“ oraz rodzący się sukces Wyspiańskiego, krytykowano restaurację Wawelu, ale z pietyzmu dla restauratora — kardynała Puzyny także i zjadliwe na nią ataki zdolnego Ludwika Puszeta, których druk, z nakazu akcjonarjuszów pisma, musiał był Starzewski, dla wyżej podanych względów, w „Czasie“ przerwać. Kłócono się z okazji obchodzonego jubileuszu Puszkina, w którego urządzeniu żywy brał udział mój ojciec, o neoslawizm podszyty rusofilją, propagowany głównie w tym czasie przez Zdziechowskiego, a który zwalczała ze łzami w oczach przejęta tradycjami polityczno-literackiemi Wielkiej Emigracji ciotka moja.

Milkły dyskusje, gdy do fortepianu zasiadał Władysław Żeleński, snujący nieraz żartobliwe muzyczne transpozycje Szopena, lub też gdy Konstanty Przewłocki, uczeń wiedeńskiego Leszetyckiego, wdzięcznie zagrał Liszta, Griega czy też Schumanna.

Z cudzoziemców przewijali się: życzliwie wtedy jeszcze dla Polski usposobiony Jerzy Brandes, inni goście z Danji: Pontoppidan i Larsen, ze Szwecji— Jensen, z Rosji — historyk Karjeew, z Anglji — pół-Anglik, kuzyn nasz Bedenham-Łubieński, z Francji publicysta André Cheradame i poeta-historyk Pierre de Nolhac, mignęło się też kilku austrjackich wojskowych: generał Nostitz, Blanckenstein, Esterhazy.

Bywały czasem spotkania napozór niewczesne, ale harmonizowane odrazu darami towarzyskiemi mojej rodziny. I tak jednego czy paru wieczorów zetknęło się w tym salonie tego rodzaju towarzystwo: feudał czeski, hr. Nostitz-Rieneck, uważający się za potomka Lohengrina, arystokratka kurlandzka hr. Czapska i... aktor K. Wprawdzie w Krakowie z końca wieku XIX mniej było przesądów, niż we Francji na schyłku XVIII-go, ale zawsze sztywny potomek Lohengrina musiał się był zapewne przezwyciężyć na pierwszy widok wchodzącego z nim do jednego salonu „komedjanta“.

Chadzaliśmy czasem rodzinnym taborem do Dunajewskich, do starego pana Karola Raczyńskiego, rzadziej i raczej później — na święcone „pod Barany“, na święcone także do delegata Fedorowicza, a dalej: do pani Konstantowej Branickiej, do Dębickich (na „Wenecję“), do kardynała Puzyny.

Salon byłego ministra Dunajewskiego nosił na sobie piętno biurokratyzmu, — o ile przynajmniej chodzi o dobór towarzystwa — tej *„noblesse de robe“*, jaką w pewnej mierze wytworzyła była w Galicji Austrja. Gospodarz, właściwy już w tym czasie, po śmierci Popiela i Szujskiego, w nieobecności Bobrzyńskiego, a przy akademickości Tarnowskiego, szef stronnictwa krakowskiego, dużej zażywał powagi, a niejeden z członków podwładnej mu partji drżał w sercu swojem przed mogącą grozić ze strony jego burą. Przyjęcia w domu Dunajewskich odbywały się, o ile pamiętam, tylko na Boże Narodzenie. Widzę obszerny salon willi przy ulicy dziś nazwiska gospodarza, w nim jego namarszczoną i przesłoniętą ślepotą sylwetkę, obok niego w biedermayerowskim stylu gospodynię, z domu Estreicherównę, córkę,—dziś zakonnicę, syna — starostę w Tarnowie, z małżonką, którą — wedle utartego wówczas kalamburu politycznego — nazwać można

z terasy Brühlowskiej w Dreźnie i t. d. i t. d. A i „Czas“ umiał na własną rękę palnąć byka, jak chociażby, kiedy cytując w r. 1899 — jeżeli się nie mylę — mowę Brandesa (za pobytu jego w Krakowie), który dziękował — niepozornemu z postaci — Zdziechowskiemu za oprowadzenie go po Krakowie „niby kornak malajskiego słonia“, wydrukował: „niby komar maleńkiego słonia“.

było „córką koalicji" (Ojciec jej, minister Madeyski zasiadał był właśnie w gabinecie koalicyjnym ks. Windischgraetza), [1]) a dalej marsową czy średniowieczną, jakby z grobowca zdjętą, postać kardynała Puzyny, barokowo skontorsjonowaną — jego kapelana Bandurskiego, wysmukłą — młodego wówczas Lea, którego dwadzieścia blisko lat potem oglądać miałem podczas wielkiej wojny, w tragicznych wielce okolicznościach, otyłym i stojącym już nad grobem, na stolcu prezydjalnym krakowskim. Grono zaproszonych dopełniała moja rodzina, biskup-sufragan Nowak, delegat namiestnika Laskowski, profesorowie Zoll senjor i Milewski i szereg jeszcze krewnych i znajomych rodziny Dunajewskich.

Atmosfera w takim składzie towarzystwa musiała być ciężka. Malcowi osładzały słuchanie poważnych rozmów sprowadzane z Wiednia smakołyki, czasem zainteresował się chłopcem sam pan minister, przestrzegając go z doświadczeniem starego polityka, aby się nie wczytywał tak w gazety, bo to nic dobrego.

KAZIMIERZ MARJAN MORAWSKI

[1]) „Siostrzeńcem koalicji" nazywano bowiem innego Dunajewskich krewnego, Ignacego Rosnera, który szybkie swoje wyniesienie w karjerze zawdzięczał właśnie owym koligacyjnym wpływom.

IDEAŁY NARODOWE MUZYKI POLSKIEJ

(Z POWODU 60-EJ ROCZNICY ZGONU STANISŁAWA MONIUSZKI)

MIMO wszystko, co nam nowsze przyniosły czasy, a czem lubimy się sami przed sobą, a jeszcze częściej przed obcymi chwalić, nie mamy ciągle dotąd w muzyce naszej nic ponad Szopena i Moniuszkę. Oczywiście, w znaczeniu poważnego, żelaznego kapitału, który z głęboką wiarą uznajemy za trwały, pewny i niewyczerpany Bo że posiadamy sporo muzyki innych twórców mniejszej kategorji, mniejszej nietyle pod względem kultury, ile pod względem istotnej żywotności i popularności, to się zaprzeczyć nie daje. I niema potrzeby zaprzeczać, bo kultowi Szopena i Moniuszki nie przeszkadza bynajmniej uznanie, składane innym autorom muzycznym. Uznanie to dla utrzymania wiary w przyszłość naszej muzyki jest konieczne i chociażby chwilami było przesadne, to szkody sprawie nie przynosi, gdyż czas ze wszystkiem umie się uporać i każdą rzecz na właściwem miejscu postawi prędzej czy później.

Ale o tę „istotną żywotność i popularność" chodzi. Rzecz prosta, że nie mówi się tu o chwilowem jakiemś powodzeniu, rozgłosie i rozpowszechnieniu utworu, zaspokajającego jakąś również chwilową potrzebę rozrywki, kaprysu lub mody. Popularność Szopena i Moniuszki daleką jest od czegoś podobnego, należy ją „pisać wielką literą" i widzieć w niej coś znacznie większego,niż to, o czem nasi muzykologowie i nasi krytycy muzyczni zwykli się wyrażać z pewną pogardą, a już co najmniej z niechęcią. W sądach tych tkwi spora porcja pychy, a ta zwyczajnie mąci jasność wzroku, niekiedy nawet powoduje całkowitą ślepotę na pewne zjawiska. Przyznać należy, iż w wielu wypadkach (u muzyków tworzących częściej, niż u teoretyków) wyniosłość sądów ma swe źródło w głęboko ustalonych przekonaniach artystycznych. Ale natury i umysły nieco płytsze popadają bardzo często w ten nieznośny błąd, że nabywszy pewną dozę (znaczną nieraz) wiedzy, dla zadokumentowania tejże *coram publico*, odmawiają wartości tworom artystycznym tylko dlatego, że przemawiają one do warstw szerokich i stają się w oczach tychże czemś wielkiem, a w ich sercach czemś bardzo drogiem. A miarą wartości utworu czy dzieła muzycznego jest jednakże zdolność zjednania się ich z warstwami jaknajszerszemi i na lata jaknajdłuższe.

Otóż w naszem życiu muzycznem najwięcej na tem ucierpiał Moniuszko. Każdy niemal krytyk, omawiając jego twórczość, nie umie się uchronić od zestawienia go z Szopenem, co zresztą łatwo można rozumieć. Przy tej jednak okazji omawianie zaczyna się nie od wspólnych właściwości tych dwu genjalnych kompozytorów, lecz od wykazywania wyższości Szopena. A tymczasem, obaj jednako budowali swą twórczość na fundamentach uczucia narodowego, jeżeli chodzi o moment wzruszenia; na fundamentach pieśni ludowej, jeżelibyśmy wskazać mieli zarodek i rozwojowość dźwiękowej istoty ich utworów, obaj jednako odczuwali przymus wewnętrzny ze strony twórczej fantazji i uzdolnienia, obaj byli w równej mierze płodni i obaj całem sercem pragnęli zjednać się z szerokiemi masami, w czem Szopen miał moc dalej sięgającą, bo ma cały świat, gdy Moniuszko objął w posiadanie kraj i naród polski prawie wyłącznie.

Gdyby kto jednak postawił pytanie, czy możnaby sobie wyobrazić muzykę naszą narodową bez „Halki" lub „Strasznego Dworu", to nie dałoby się inaczej na nie odpowiedzieć, jak w ten sposób jedynie, że tak samo nie można zrozumieć muzyki naszej bez „Halki", jak bez Szopenowskich Polonezów A-dur, As dur i Fis-moll, bez Mazurków, bez Fantazji F-moll, bez rewolucyjnych etiud i wielu innych utworów. A w dalszym ciągu, wstrzymując się od wykazywania stopni w szczegółach twórczości tych dwu narodowych kompozytorów, należałoby oświetlić tę najważniejszą okoliczność, iż pojawili się oni w dwu odmiennych momentach życia narodowego: Szopen bezpośrednio w czasie powstania listopadowego, Moniuszko w trzydzieści lat później, w okresie powstania styczniowego.

St. Moniuszko nie był piewcą rewolucyjnych nastrojów, bo nie należał do zwolenników powstania, jak to ogólnie wiadomo. Niemniej tęsknota jego do przeszłości była tak wielką, iż jej atmosferę obrał sobie na stałe, aby nią w swym świecie dźwiękowym oddychać i ją przed swem audytorjum stale roztaczać. Lecz nie świetność dawnej Polski pociągała go nadewszystko; raczej—zacność. Moniuszko nie miał zamiaru ani możności wołania głośno o przyszłość narodu, bo wszakże, jak wiemy, całą swą egzystencję związał z Warszawą, rządzoną przez rosyjskich władców. Ale w marzeniach swych ukrytych, gdy śnił o przyszłej Polsce, to nie wyobrażał jej sobie inaczej, jak idealnie prawą, szlachetną i zacną. W każdej też jego pieśni „Strasznego Dworu", „Hrabiny" czy „Halki", słyszymy zawsze wyraźnie, jak z melodji i jej tekstu wyłania się morał, pełen zbożnych uczuć, pełen czci dla

przeszłości i pragnień, aby przez nią naród mógł do nowego życia powstać, chociażby to miało w innych warunkach politycznych nastąpić.

I znowu przychodzi tu na myśl Szopen, egzaltowany, namiętny, do życia przywiązany, nie tyle może „zacnego“, ile zmysłowego, wytwornego, świetnego... W jego przecudnych myślach muzycznych raczej ironję spotykamy niż morał. Czar zmysłowy bije z nich zawsze...

I tak te dwa wielkie duchy naszej muzyki dopełniają się wzajemnie, tworząc całość, w której tkwi wszystko, czego nasz instynkt pożąda od dźwięków. A czy teraźniejszość jest zdolna do wytworzenia czegoś nowego, nowych żądań i nowych celów, to kwestja, na którą trudno dać dzisiaj odpowiedź...

STANISŁAW NIEWIADOMSKI

NIE WIEM

Nie wiem, jak się zwie ten, co cię oskarżał,
ani ten, co cię bronił na sali,
ni jak się sędzia zwał, ni jaka była szarża
tych, co na cię wyrok wydali...
Tylko o trupie wiem w samotnej willi
i że cię kamieniami byliby zabili.

W Jugosławji może ktoś twe imię szepce,
rówieśnica, piastunka, ciotka stara we wsi,
ktoś, kto cię dzieckiem znał, kto stał przy twej kolebce,
jacyś ludzie najbliżsi twoi i najlepsi.
Ktoś złapał się za głowę i z przestrachem pyta:
„Ta sama?!... Ta maleńka Margeryta?“

I nie wiem jak chowano cię i jakiej byłaś wiary
i czy sukienkę białą miałaś przy komunji?
Czyś do szkoły chodziła? Pilna była w miarę?
Czy uciekała z klasy — ot, ptak, co wyfrunie
Bóg wie gdzie, byle bliżej słońca i księżyca...
A może tak jak ja — nigdy nie miałaś rodziców?

Może nie stał przy tobie nikt z anielską twarzą
nigdy? Może u obcych żyłaś jak pies bity?
Może cię sprawiedliwy deptał, cnotliwy obrażał?
Możeś chodziła z duszą głodną w ciele sytem,
a twoje pierwsze dobre słowo o nadziei
słyszała od rajfurki, albo od złodzieja?

Nie wiem o tobie więcej niźli o skazanej
jawnogrzesznicy wiedział tłum jej katów,
gdy Chrystus między nią a kamieniami stanął.
I tylko widzę, jak nad tobą splata
wężów swych zwój śmiertelny pochylona,
skamieniała we zgrozie straszna twarz Gorgony.

Nie wiem jak się zwie ten, co wpisał w księgi
jak tracić matki ciężarne!..
I nie wiem czy po krew twą moja Polska sięgnie.
Nie wiem... i nie ogarnę...
Ale odkąd wyrok zapadł i zawarto drzwi,
krzyczy coś po nocach: „Dość krwi!“

— — — — — — — — — — — — — — — —

Martwa panienko, cicha dzieweczko,
podarta ostrzami skalpeli,
powiedz sędziom, że zemsta aniołom
serc nie weseli.

Umarli żywych nie skarżą:
zbrodniarza wiem, — nie wydasz!
Powiedz światu, że nie naprawi
spełnionej — nowa ohyda.

Zdeptanaś jak grzęda kwiatów
słów i podejrzeń tysiącem...
Męczenników bolą ludzkie wyroki,
bardziej od zbrodni hańbiące.

Straszny jest tajemny morderca,
co dziecko niewinne raził,
ale jeszcze straszniejsze jest prawo pisane krwią
na głazie.

Gniew jest obrzydły wszystkiemu co żyje,
jak jadem nalana żmija,
ale bardziej obrzydła jest zemsta praw,
która na trzeźwo zabija.

O dzieweczko niewinnie zamordowana,
usłysz, zważ, ściągnij brwi
i stamtąd gdzie jesteś swój wyrok daj:
„Dość krwi!“

— — — — — — — — — — — — — — — —

Wiem, jak trudno jest żyć i nie błądzić co dnia,
pchać taczkę swą, ten ciężar, to nieczułe drewno,
i jak jest małe przejście od błędu do zbrodni
to wiem... Domyślam się... Nie! Wiem napewno.
I wy to wiecie, przysięgli. Niestety,
nie wiem, czy śród przysięgłych bywają kobiety.

Wiem, jaką bywa twarz Pokusy nim się ziści
we wstydzie i zgrozie,
i szelest śmierci znam, chrzęst martwych liści...
Lecz nie wiem — jaka jest śmierć na powrozie!
Choć, że wyrzut sumienia piecze jak żar węgli
wiem... I wy wiecie również, sędziowie przysięgli.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Wiem, że twarz matki nad dzieckiem schylona
to cała nasza przed Bogiem obrona,
że wobec matki, gdy na dziecko czeka,
trzeba by świat się gwiazdami oblekał,
a czy na tronie, czy w więziennej celi
— nie nas, lecz jej z dziecięciem pilnują anieli.

Czyś winna, czy nie winna, ty, co cię wrzeciądze
i rygle dzielą od nas, ja cię nie osądzę,
nawet gdy od haniebnych praw zabita zginiesz z ręki kata.
Kiedyś dowiemy się w dolinie Józafata,
gdy herold Chrystusowe sądy pooogłasza
nad tobą i nad nami, zbrodniarko, siostro nasza!

KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA

NA WIDOWNI

Kartka z dziejów kultury politycznej. — Rzecz o zwyczajach i obyczajach. — O pozie, fanfaronadzie i brawurze. — Zwyczaj myślenia i działania celowego. — Pomyślność działającego, czy pomyślność sprawy. — Aleksander Skarbek na tle zwyczajów epoki.

OD SZEŚCIU LAT trwa w Polsce zatarg między społeczeństwem a rycerzami przewrotu majowego o prawo myślenia i wypowiadania myśli.

— Możecie nie myśleć, bo my za was myślimy, a zresztą nicbyście nie wymyślili, bo jesteście narodem idjotów.

A gdy w dyskusji, która na ten temat się przeciągała, rzucano podejrzenie co do zupełnej nieobecności myśli po tamtej stronie, czego dowodem jest brak programu, odpowiadano:

— Bo u nas są takie zwyczaje, że wprzód się robi, a potem myśli. Na tem polega radosna twórczość.

Aż wreszcie po sześciu latach takich rozmówek, 1 czerwca 1932 r., gdy spiętrzyły się w Polsce i nad Polską całe zatory zagadnień i niebezpieczeństw, stanęło pytanie drażliwe i wykrzyknik:

— Więc tak wygląda radosna twórczość?! Może teraz nareszcie zaczniemy myśleć?!

Wtedy zabrał głos p. Walery Sławek, o którym się wiele mówiło, że nie jest coprawda do myślenia, ale jest od działania, i powiedział:

— „Musimy zrobić wszystko, co będzie w naszej mocy, aby ciężar ofiar rozłożony był równomiernie na wszystkich“.

Oto jedna część programu. A druga: *point de réverie*:

— „Jest możliwe, że w umysłach niektórych ludzi z opozycji świta nadzieja, że rząd się załamie i odda im władzę w państwie, że małodusznie zrezygnuje w chwili trudnej. Mogę zapewnić wszystkich, ktoby o tem chciał wiedzieć, że nie odpowiadałoby to zwyczajom ludzi, stojących dziś u steru“.

Siódmy więc rok — jak dowiedzieliśmy się — będzie poświęcony „równomiernemu rozkładaniu ofiar na wszystkich“, aby się wszyscy czuli równoprawnymi obywatelami kraju. Oczywiście BB weźmie na siebie ofiarnie ciężar „rozkładania ofiar na wszystkich“ innych. Ale mniejsza o to; najbardziej interesujące powiedzenie p. Sławka jest o tych „zwyczajach“.

Schemat skrzyżowania pojęć przedstawia się w ten sposób. Obywatel, choć trochę po zachodniemu wychowany, głowi się nad tem, aby zrozumieć objektywnie położenie, a następnie czy ofiary, które gotów ponosić bez szemrania, są dobrze pomyślane i celowo spożytkowane. W rezultacie, „jest możliwe, że w umysłach świta nadzieja“, iż przedewszystkiem ludzie odpowiedzialni za całość pierwsi zdobędą się na bohaterski wysiłek i spostrzegłszy swoją niemoc, zrzekną się „rozkładania ofiar“. Na to ci ludzie, którym „świta nadzieja“, otrzymują odpowiedź:

— To się po nas nie pokaże, bo to „nie odpowiadałoby naszym zwyczajom“.

Ładne zwyczaje! Istotnie, gdy sobie uprzytomnimy dzieje zwyczajów wstecz (1926—1920—14, 1905), przestajemy się dziwić. Różne, jak widzimy, bywają zwyczaje. Najmniej jednak w służbie publicznej odpowiednie są zwyczaje, dogadzające ambicjom osobistym. Brawura jest nie na miejscu, gdzie jedynie wskazana jest pokora wobec sprawy. Przywykliśmy w Polsce do innych zwyczajów. Nie będę sięgał czasów dawniejszych, przytoczę zwyczaje nowoczesne, opisane przez R. Dmowskiego w jego dziele „Polityka polska i odbudowanie państwa“ (s. 493 i n.):

„Myśmy ze społeczeństwa czerpali siłę, braliśmy żywy udział w jego pracy i walce we wszystkich trzech zaborach, trzymaliśmy rękę na pulsie jego życia, staraliśmy się w jego duszę jaknajgłębiej wniknąć, zrozumieć, dokąd je prowadzą zachodzące w nim przeobrażenia. To sprawiło, że polityka rychło przestała być dla nas literaturą, że widzieliśmy w niej funkcję życiową narodu. Z tego naszego związku z życiem narodu wyrosła nowoczesna polityka polska, szukająca dla wielkich aspiracyj narodowych wyrazu konkretnego, realnego, polityka, która przez patrjotyzm rozumiała nie gotowanie Polsce klęsk i kształcenie jej w męczeństwie (ofiary!), ale tworzenie i organizację jej sił i prowadzenie jej do zwycięstwa... Nie zajmowaliśmy się oglądaniem swojej pozy w lustrach, ale na każdym kroku zastanawialiśmy się, jaki będzie pożytek z tego, co zrobimy...

„Był to obóz, który wyłącznie interesowi Polski służył. Miał ludzi, którzy nie bali się myśleć i samoistną myślą torować polityce dróg nowych. Miał wreszcie ludzi i rozumnych i dzielnych, ale cichych, nie wysuwających się na arenę publiczną, nie szukających niczego dla siebie, dla swoich ambicyj...

„Ci głównie ludzie, którzy tylko dawali ojczyźnie, a nic od niej nie brali,—budowali Polskę. Tylko pokolenia, które takich mają ludzi, tworzą przyszłość narodu“.

Społeczeństwo, mające w podstawach wychowania tę szkołę, nie bardzo jest ciekawe czyichś zwyczajów sportowych, gdy mowa o polityce. Bo to jest postawa psychiczna sportowa, gdy ktoś się chwali, że wprzód robi, zanim pomyśli, albo że siłą jego jest ryzykanckie usposobienie. Przypomnijmy sobie przemówienie w Krakowie p. Jędrzejewicza:

— „W kraju bieda i nędza; przystępuje się do reformy ustroju szkolnego. To jest znamienne dla współczesnego pokolenia (?). Jest w tem moment ryzyka... Nauczycielstwo będzie się musiało porać z tem, czem je w nowej ustawie obarczyło ryzykanckie pokolenie“...

Jakie tam pokolenie! Dzisiejsze pokolenie nie jest bynajmniej ryzykanckie. Ono doskonale rozróżnia sport od polityki, umie myśleć realnie i odpowiedzialnie. Nie jest pokoleniem pozy, pozorów i „zwyczajów“, w postawie narodowej niema na to miejsca; niema miejsca na pozerów. Owo pokolenie uznane zostało za wroga państwa, jedynego wroga państwa, właśnie dlatego, że przeszkadza ryzykanctwu bawić się Polską.

Warto zwrócić uwagę, że stanowisko „zwyczajowe“ p. Sławka podobało się tylko „Czasowi“; ale to chyba jeszcze bardziej staroświeckie „pokolenie“—takie, któremu się wszystko podoba, co ma władzę. A wreszcie — co najciekawsze — p. Sławek mówi teraz w liczbie mnogiej o zwyczajach „ludzi, stojących dziś u steru“. Do niedawna mówiło się o zwyczajach „człowieka“, stojącego u steru. Zwyczaje jednak się zmieniają. Firma robi się anonimowa.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Jakich to ludzi miał na myśli Dmowski, pisząc słowa, które wyżej przytoczyłem? Dziesięć lat temu, 3 czerwca 1922 r., odbył się we Lwowie pogrzeb ś. p. Aleksandra hr. Skarbka. Spoczywa na cmentarzu Łyczakowskim pod wysokim krzyżem wśród „Orląt“. Nie umarł bezdzietny. Odkąd ta młodzież w mogiłkach skupiła się koło Skarbka przerażającym tłumem, odtąd żyją w Polsce orlęta. Nie zbraknie ich w potrzebie. Żyje w nich pamięć

tego rycerza bez zmazy, któremu Polska zawdzięcza, że Lwów i ziemie Czerwińskie dla niej ocalały.

To nie był ryzykant, to był człowiek odważny, czerpiący siłę w tem, że myślał za Polskę i miał wielki cel. „Kurjer Lwowski“, z którym zwyczaje nie pozwalają „sanacji” rozmawiać, i dlatego w ciągu czterech lat sto sześćdziesiąt razy był skonfiskowany, w dniu 1 czerwca r. b. poświęcił główną część tekstów pamięci Skarbka.

Jakże odmienne miał zwyczaje Skarbek od p. Sławka! On, jako kierownik polityczny Legjonu wschodniego w Małopolsce, w porozumieniu z Warszawą i Poznaniem stanął po stronie koalicji, walczącej z państwami centralnemi. Taki miał zwyczaj, a to był czyn wielkiej odwagi. Szczęśliwie uniknąwszy więzienia, w czerwcu 1918 r. z trybuny parlamentarnej w Wiedniu czyn ten umotywował otwarcie dążeniem narodu do niepodległości. On to wziąć musiał na barki krzyż Lwowa w konsekwencji pokoju Brzeskiego i złej polityki innych, którym zwyczaje nie pozwalały porozumiewać się z mądrzejszymi w sprawach polityki narodowej. Skarbek miał zwyczaj uważać Małopolskę wschodnią za kraj polski, za jeden z zasadniczych węgłów państwa polskiego. Gdyby nie wytężona działalność Skarbka, smutny byłby los Lwowa. Kierując obroną Lwowa, walczyć musiał—i to była walka bolesna — z tymi, którzy ten kraj uważali za ukraiński.

Kiedy w jesieni 1918 r. zachwiał się front niemiecki, a stara Austrja pochyliła się do upadku, Skarbek rozwinął w Krakowie sztandar niepodległości Polski. W dwa tygodnie potem wyzwoliła się Warszawa. Wreszcie walka o Lwów, przy pomocy sił z Wielkopolski wyjednanych przez Skarbka.

Skarbek dał jedną z najpiękniejszych kart dziejom odradzającej się Polski. Żywot jego zasługuje na specjalną monografję historyczną, która we Lwowie powinna się ukazać jaknajprędzej.

Należy mu się pomnik, bo dobrze zasłużył się Ojczyźnie.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

POMORZE NA FRONCIE WALKI. Pod tym tytułem „Słowo Pomorskie“ (Nr. 125) złożyło następujące oświadczenie:

„Zmiany, zachodzące w Niemczech, zmuszają nas do przypomnienia pewnych zasadniczych punktów naszej wiary politycznej. Gdyby nowe rządy niemieckie chciały sięgnąć złodziejską ręką po Pomorze, to naród polski musi całą siłą poskromić grabieżców. Każde targnięcie się na całość granic pomorskich spotka się ze stanowczym i gwałtownym odporem.

„Istnieją w Niemczech prądy, które chciałyby Polskę udusić, odcinając od niej gospodarcze płuca pomorskie. Nie chcąc zdradzać swoich istotnych zamiarów i nie chcąc obciążać rządu niemieckiego bezpośrednią odpowiedzialnością — łupieżcy pruscy wykombinowali zeczepny manewr od strony Gdańska, skąd bojówki hitlerowskie mogą doprowadzić do wybuchu przygotowanej beczki prochu.

„Oświadczamy, że w razie hitlerowskiego zamachu na ustrój Gdańska i na prawa polskie, zagwarantowane nam przez Traktat Wersalski na terenie tego miasta — Polska musi wystąpić w ich obronie w sposób stanowczy i bezwzględny, używając do tego regularnej siły zbrojnej. Praw suwerennych w Gdańsku musimy bronić całem autorytetem narodowo-państwowym.

„Nie jesteśmy zwolennikami frazeologji. Przestrzegamy przed gorączkowemi i nieobmyślanemi poczynaniami. Nawołujemy do trzeźwości i rzeczowości w działaniu.

Stwierdzamy wyraźnie, że wojsko polskie powinno wkroczyć do Gdańska, gdyby tam ktoś chciał zburzyć porządek i zniszczyć suwerenne prawa polskie na tym obszarze. Polska reprezentuje interesy Gdańska na terenie zagranicznym. Gdańsk leży w obrębie naszych granic gospodarczych i dyplomatycznych. Interesy gdańskie i polskie są ze sobą ściśle związane. Całości tych interesów musi bronić zbrojne ramię Rzeczypospolitej t. j. wojsko polskie. Ono, i tylko ono, jest powołane do tego, ażeby przywrócić porządek, gdyby go ktoś na terenie Gdańska naruszył w sposób dla Polski niegodny i groźny.

„Jesteśmy przeciwni naśladowaniu metod hitlerowskich w tej sprawie. Jesteśmy przeciwni organizowaniu obrony przy pomocy bojówek czy jakichś partyzanckich oddziałów. Kto chce bronić praw polskich nad Bałtykiem, ten może się ćwiczyć poza wojskiem, lecz działać i walczyć powinien tylko w szeregach wojskowych. Wymaga tego zasada jednolitości działania i powagi państwowej“.

W TRUDNYCH CZASACH DZISIEJSZYCH CORAZ ŁATWIEJ O BEZSENS — w życiu publicznem. Najprostsze nawet pojęcia z tego zakresu wypaczyły się, w porównaniu z tem, co oznaczają w normalnem życiu państw europejskich. Weźmy słówko „odpowiedzialność”. Najprostszy i podstawowy sens jego mówi, że ktoś ma odpowiadać za swoje czyny, a więc ponieść konsekwencje swoich błędów. Tymczasem dziś, w języku urzędowym, terminu tego tak się używa, jakby oznaczał właśnie — nieopowiedzialność. Zanotowaliśmy to już w „głosach” przed kilku tygodniami, obecnie przemówienie prezesa BBWR Sławka przytaknęło nader energicznie naszemu spostrzeżeniu. „Być może” — mówił prezes Sławek — „że w umysłach niektórych ludzi z opozycji świta nadzieja, iż rząd się załamie i odda im władzę w państwie — że małodusznie zrezygnuje w chwili trudnej.” Nie. Żadne trudności, w których uwikłała się Polska po sześcioletnim okresie rządów „sanacji”, nie sprawią tego, żeby „sanacja“ poczuła się odpowiedzialna za ten rezultat rządów. Bez względu na wszystko rządzić będzie dalej. Znakomicie — ale czem taka „odpowiedzialność” różni się od nieodpowiedzialności? „Żadne specjalne (?) przesilenia“— stwierdził prezes Sławek — „żadne trudności, wysuwane przez życie, nie spowodują faktu, żeby rząd umył ręce i wycofał się od kierownictwa życiem państwa. Nie leży w zwyczaju tych ludzi, którzy są dzisiaj u steru państwa, cofać się przed...“. Dotąd jasne, lecz dalej: „...odpowiedzialnością”. Jak niezmiernie daleko odbiegliśmy od pojęć, obowiązujących w cywilizowanej Europie, jeśli „brnąć” znaczyć ma to samo, co „ponosić konsekwencje swych czynów”.

NA TEMŻE SAMEM POSIEDZENIU BBWR, na którem zaznaczył się wspomniany rozstaj pojęć, uchwalono „rezolucję" — w imieniu społeczeństwa polskiego. Zdziwionych uprzedźmy odrazu, że w treści była poprawna, choć zredagowana w stylu codziennej polemiki dziennikarskiej. Miała być odpowiedzią na uchwałę Komisji Spraw Zagranicznych Reichstagu, notyfikującą światu, iż zamach Polski na Gdańsk poczytywany byłby jako zamach na Niemcy. Jak zauważono w prasie polskiej, na oświadczenie ze strony niemieckiej Komisji Spraw Zagranicznych nie odpowiedziała Komisja Spraw Zagranicznych parlamentu polskiego. Zamiast tego zabrał głos jeden z klubów sejmowych. Czy uchwale jego dodało powagi to, że powzięto ją, jak donosi „Gazeta Polska", — „jednogłośnie"? Czy jednogłośność klubu BBWR w sprawie, co do której wogóle między Polakami różnicy zdań być nie może, zastąpiła szczęśliwie manifestację zgody całej opinji polskiej, w innych sprawach tak poróżnionej? Uchwała (choć zgadnąć to niełatwo z lichej redakcji) — przeznaczona była dla zagranicy. W kraju różnie można oceniać wartość przedstawicielską BB; można nawet utrzymywać, że klub reprezentuje nie współpracę z rządem, lecz... społeczeństwo. Ale zagranicy jednomyślność w łonie klubu poselskiego, i to tego, który w sprawach najbłahszych musi okazać się jednomyślny,— zgoła nie imponuje i nic nie mówi. Najmniej w sprawie wagi kapitalnej.

„CZY PAŃSTWA DOJRZAŁY DO ROZBROJENIA MORALNEGO?" — Tak przeistoczyła się treść obrad genewskich nad wnioskiem polskim w sprawie „rozbrojenia moralnego", że walczy się obecnie, jako o sukces, o stwierdzenie, że—nie dojrzały. „Delegat polski"— czytamy w „Gazecie Polskiej" (z 5 VI) pod wyżej zacytowanym tytułem — „oświadczył kategorycznie, że byłoby stratą czasu, gdyby Komitet ograniczył się do wydania tylko platonicznego zalecenia, któreby — jak tyle innych — pozostało niewykonane. Lepiej byłoby oświadczyć, że rządy nie dojrzały jeszcze do rozbrojenia moralnego". Słowem — rozbrojenie moralne nie może być urzeczywistnione przy pomocy środków natury moralnej. Co więcej, zalecanie i tp. moralne jedynie zachęty tak są bezwartościowe, że lepiej powiedzieć wprost, iż — „rządy nie dojrzały..." W tak paradoksalnej sprzeczności utknęła sprawa „rozbrojenia moralnego" podczas dyskusyj genewskich. Jak przewidywaliśmy na tem miejscu, rozbrojenie „moralne", gdyby miało konkretnie wejść w życie, wyrazić by się musiano głównie (i niemal wyłącznie)— w rozszerzeniu kompetencyj cenzury państwowej w poszczególnych krajach. Po tej linji szedł też złożony przez delegację polską projekt. Delegacja nasza okazała się entuzjastką cenzury. „Zasady konwencji międzynarodowej" — ubolewała agencja „Iskra" — „proponowane przez delegację polską, zostały w toku prac podkomitetu rozbrojenia moralnego dość znacznie zwężone przez przybranie ich w znaną frazeologję genewską, przyczem w wielu wypadkach właściwy sens przepisów konwencji został wręcz zgubiony przez nagromadzenie zbytecznych słów, dających pole do szerokich interpretacyj". Dnia 18 maja delegat polski przedłożył poprawki, przywracające w miarę możności „zgubiony sens" przepisom konwencji. Sens ten zawiera się oczywiście w idei wzmocnienia nadzoru państwowego. Nic dziwnego, że do streszczenia projektu konwencji przez „Iskrę" wkradła się pewna monotonja. Regulatorką wszędzie ma być cenzura. Czytamy o „wprowadzeniu ścisłego n a d z o r u państwowego nad szkolnictwem przez usunięcie wszelkich metod wychowawczych, wzbudzających w duszach młodzieży nienawiść do narodów obcych"... „zobowiązać państwa do ścisłego n a d z o r u nad podręcznikami szkolnemi"... „oddzielne artykuły mówią o n a d z o r z e c e n z u r y państwowej nad radjofonją, teatrem, kinem" i t d. Nic dziwnego, że nie wszystkie państwa uznały to za zysk, że nienawiść ma być w zawiadywaniu cenzury, i projekt napotkał na zrozumiały opór. Przy najszerszem nawet pojmowaniu kompetencyj cenzury państwowej niepodobna uznać wartości jej ingerencji w dziedziniach, które z natury rzeczy są dziedziną autonomiczną sumienia narodowego. Polepszenie stosunków między narodami, jeśli ma być realne, nastąpić może tylko w drodze autentycznego tworzenia się opinji.

W POLSCE KWITNĄ.. DRZEWA MIGDAŁOWE. W „Robotniku" pojawiła się niedawno notatka, podpisana przez p. Stanisława Karpińskiego, posła na Sejm, z której dowiadujemy się, iż w 1918 roku zajmował w Rosji sowieckiej „w y b i t n e s t a n o w i s k o w h i e r a r c h j i p a ń s t w o w e j oraz występował politycznie i partyjnie" niejaki Mandelbaum, oczywiście żyd.

Tow. Mandelbaum przybył do Polski i został nauczycielem szkoły średniej. Ponieważ występować publicznie jako Mandelbaum nie wypadało, przezwał się więc Stefanem Drzewieskim, a podpisuje się także jako Drzewiecki. Obecnie p. Mandelbaum — (Stefan Drzewieski-Drzewiecki) jest wiceprezesem Sekcji Szkół Średnich Związku Nauczycielstwa Polskiego (na którego czele stoją senator Nowak i poseł Smulikowski z B.B.) oraz redaktorem naczelnym „Ogniwa", organu tegoż Związku. Pozatem występuje z ramienia kuratora Pytlakowskiego, jako referent na konferencjach dyrektorów, wizytatorów i nauczycieli, tłumacząc kwieciście, jak należy realizować „wychowanie państwowe". Niedawno na zjeździe nauczycieli szkół średnich we Lwowie 4 maja b. r. wygłosił referat p. t. „Nowy nauczyciel". Na tym samym zjeździe referat pt. „Nowa Szkoła" wygłosiła posłanka z B.B., Marja Jaworska, przewodnicząca Sekcji, której p. Mandelbaum jest wiceprezesem, zaś sekretarzem tej sekcji jest również żyd, Edmund Semil.

Poseł Karpiński, który zna p. Mandelbauma z jego działalności w Rosji sowieckiej, gdzie również „upaństwawiał" naród rosyjski, zapytuje: „j a k i e p r a w o m a p. M a n d e l b a u m-D r z e w i e s k i u c z y ć n a u c z y c i e l i p a t r j o t y z m u, a z w ł a s z c z a p r z y w i ą z a n i a d o p a ń s t w a p o l s k i e g o?" Odpowiedzi na to zapytanie z dnia 29 kwietnia br. udzielił p. Mandelbaum 4 maja swem wystąpieniem we Lwowie wspólnie z p. Jaworską.

Podobnie jak naród rosyjski w r. 1918, także naród polski, a w szczególności nauczycielstwo polskie jest obecnie niewolone słuchać p. Mandelbaumów. Powiemy więcej: od Mandelbaumów zależy karjera życiowa nauczycieli-Polaków. P Mandelbaum w tych warunkach wysunąć się może na najwyższe stanowisko...

DZIAŁO SIĘ TO W ROSJI. W świeżo wydanej książce szkolnej p. t.: „Służ państwu“, znajdujemy taki obrazek:

„Lekarz wojskowy był przy tej barbarzyńskiej egzekucji i trzymał palec na pulsie delikwenta, by oznaczyć chwilę, gdy bicie mogło być śmiertelnem; gubernator stał przy tem i od czasu do czasu rzucał rozkazy: *„Bit' silniej, a czto? razbojnik ja, ili gubiernator“*. Obecny przy tem prokurator zwracał uwagę pana Klingenberga na to, że popełnia bezprawie, że on, prokurator, jako przedstawiciel prawa, nie może na to pozwolić i nawet patrzeć na to bez zgrozy nie może. *„Tak otwiernitieś“* [1]),—brzmiała grubijańska odpowiedź rozbestwionego urzędnika. Prokurator został i tylko, gdy przyprowadzono na egzekucję czternastoletniego malca, siłą wyrwał go z rąk oprawców.

Tak się w ogólnych zarysach przedstawia wypadek oburzającego gwałtu na zasadzie prawnej. Pogłoski o nim krążą głucho po całym kraju, wzbudzając śród ludu, szczerze a nawet fanatycznie katolickiego, niezadowolenie i oburzenie“ (str. 389—390).

Autorem tego opisu jest — Józef Piłsudski, a mowa tu — o Krożach! Dzisiejszego czytelnika uderzyć muszą w tym ustępie zaiste przestarzałe przesądy: lekarz wojskowy; badanie pulsu; prokurator, jako przedstawiciel prawa (czy to nie tendencja antypaństwowa?), zwraca uwagę na bezprawie (co za dziecinada!); sam nawet gubernator ma wyrzuty sumienia i przypuszcza, że jest rozbójnikiem itd. Rzeczywiście, któż spotykając tego rodzaju restrykcje przy pełnieniu egzekucji, będzie wątpił, że Rosja była barbarzyńska! A uczeń „czternastoletni“ będzie się z tego uczył naraz, jak państwu należy i jak nie należy służyć!

[1]) To się pan odwróć.

NAUKA I LITERATURA

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO I LITERACKIEGO

Sześćdziesiątą rocznicę śmierci wielkiego twórcy muzycznego Stanisława Moniuszki obchodziła uroczyście cała Polska.

Przedewszystkiem Warszawa, gdzie na Powązkach jest grób Moniuszki. W kościele Św. Krzyża odbyło się nabożeństwo (z kazaniem ks. prof. Jachimowskiego), na chórze śpiewali artyści opery i Harfa. Nad grobem przemawiali ks. prof. Feicht i Paweł Kochański. Wiele wieńców. Po południu uroczysta akademja w Ratuszu. Wieczorem „Straszny Dwór“ w operze. W dn. 5 w niedzielę wielki koncert w Filharmonji i festiwal w Łazienkach z koncertem 6 orkiestr.

Pięknie również wypadł obchód poznański, który trwał trzy dni, a zaczął się w parku pod pomnikiem Moniuszki. Trzy chóry z osobna i zjednoczone wobec tłumów publiczności wykonały szereg pieśni. „Kurjer Poznański“ z 4 czerwca cały dział literacko-artystyczny poświęcił Moniuszce.

Wychodzący w Katowicach „Śpiewak“ wydał zeszyt Moniuszkowski, godny uwagi. Art. wstępny o znaczeniu Moniuszki w polskiej kulturze artystycznej wieku XIX napisał p. M. Stoiński. Wspomnienia zaś wileńskie Lucjana Uziębły i Michała Józefowicza zbliżają ku nam postać artysty. Ciekawy jest również urywek z powieści „Moniuszko“, którą p. Władysław Fabry zaczął pisać w typie modnego dzisiaj „romansu biograficznego“. Rodział ten traktuje o ojcu Moniuszki Czesławie i jest ilustrowany jego własnemi rysunkami.

*

Nagroda literacka woj. śląskiego przypadła w tym roku Zofji Kossak-Szczuckiej. Pierwsza jej książka wyszła 1922 r. Była to „Pożoga“ na tle życia Ukrainy. Potem nastąpiły: *„Beatum scaelus“* (1924) „Szaleńcy Boży“ (1929), powieści historyczne: „Złota wolność“ (1928) i „Legnickie pole“ (1930), potem z tła śląskiego: „Dzień dzisiejszy“ (1931) i „Nieznany kraj“ (1932). Te ostatnie dzieła dały Szczuckiej tytuł do nagrody śląskiej. Autorka pracuje obecnie nad czterotomową powieścią z czasów wojen krzyżowych.

*

Z powodu secesji 15 członków ze Związku zawodowego literatów polskich w Krakowie Zarząd Związku, pozostający pod przewodnictwem K. H. Rostworowskiego, rozesłał wyjaśnienie, z którego wynika, że motywy secesji, wyłuszczone w „Il. Kur. Codzien.“, nie odpowiadają rzeczywistości. Ubocznie dowiadujemy się z Krakowa, że rozłamu dokonali literaci, uzależnieni od pomienionego dziennika, który terroryzuje opinję Krakowa. W świetle procesów i zdarzeń, dotykających teraz to pismo, i ten fakt nabiera właściwego znaczenia. Kraków musi wyzwolić się moralnie z pod kompromitujących rządów tego brukowca.

*

W dwutygodniku „Zet“, a poprzednio w czasopiśmie „Jutro pracy“ ukazały się artykuły, ostro atakujące b. ministra kultury i sztuki p. Zenona Przesmyckiego (Miriama) za to, że w swoich zbiorach więzi od wielu lat puściznę rękopiśmienną po Hoene-Wrońskim i Norwidzie, nie dając do niej dostępu. W ostatnich latach posiadł jakoby archiwum Żeromskiego, z którem robi to samo. Od wielu lat prasa niejednokrotnie dopominała się o uwięzionego Norwida. P. Przesmycki żadnych wyjaśnień nie dawał. Teraz dopiero ogłosił w dziennikach list, zawiadamiający, że pomienionym dwu czasopismom wytoczył proces sądowy o zniesławienie. Kwestja, jakie stanowisko zajmie sąd w tej sprawie, budzi wielkie zainteresowanie śród prawników. Bo zachodzi pytanie, w jakiej mierze dzieła zmarłych pisarzy mogą być uważane za własność prywatną.

*

Ogłoszony w „Myśli Narodowej“ (nr. 17 z r. b.) wiersz Rudyarda Kiplinga „Pieśń dzieci“ w przekładzie Stanisława Pieńkowskiego wydała obecnie, w celu rozpowszechnienia śród młodzieży, Macierz Szkolna. Publikacja przedstawia się sympatycznie.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Wyszła świeżo praca J. Langlade'a o Janie Kochanowskim. (*„Jean Kochanowski. L'homme. Le Penseur. Le poete lyrique“. Edition „Les Belles lettres“*). Ten sam autor przełożył szereg utworów Kochanowskiego, zaopatrzywszy je wstępem i komentarzem. *(„Chants“)*. (W. J.)

*

Nagrodę „literatury regjonalnej“ *(le prix de la litérature règionaliste“)* otrzymał w tym roku J. Pesquidoux, pisarz oddany przedewszystkiem sprawom ziemi i wsi francuskiej, jej czynnościom, troskom i niedolom, ale i urokom oraz cnotom. Za całość dzieła swego (z książek tego autora najbardziej są znane następujące: *„Chez Nous“*, *„Sur la glèbe“*, *„Le livre de Raison“*) otrzymał dawniej Pesquidoux wielką nagrodę literacką Akademji Francuskiej, obecnie dostała się mu specjalna nagroda „literatury regjonalnej“. Wśród laureatów powyższej nagrody spotykamy między innymi Pawła Cazin'a, tłumacza J. Weyssenhoffa. (W. J.)

*

Jednem z najważniejszych niebezpieczeństw, zagrażających społeczeństwom współczesnym, jest podkopanie podstaw, na których opiera się rodzina. P. Laurent Filhol w interesującej książce, noszącej tytuł *„Les famille et les impôts sur les successions“* (Paris. Sirey. 1930 str. 188) zajmuje się niebezpieczeństwem, jakie zagraża rodzinie przez nadmierną wysokość podatku spadkowego. W pierwszej części autor zajmuje się zagadnieniem rodziny oraz zagadnieniem podatku spadkowego, jako takiego. W drugiej natomiast rozpatruje szkodliwe oddziaływania tegoż podatku na społeczeństwo, a więc zmniejszenie incjatywy prywatnej, zanik oszczędności, niszczenia klasy średniej, osłabienie więzów rodzinnych, wreszcie zmniejszenie się przyrostu naturalnego. Jako środek, mający udaremnić te zgubne wpływy, autor wysuwa przedewszystkiem konieczność obniżenia do *minimum* podatku w wypadkach spadkobrania w linji prostej. (J. P.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

W SALONIE wiosennym „Instytutu“ wzięło udział 64-ch artystów. W tej liczbie mieści się 11-ty członków „Rytmu“ pozatem przeważa młodzież, w najbardziej szerokiem znaczeniu tego słowa. Trudno oczywiście pisać o wszystkich i niema potrzeby, wymienienie artystów, którzy na to, z tych czy innych względów, zasługują i tak utworzy pokaźną naręcz nazwisk i tytułów. Zacznijmy od Wilna. Dwa obrazy

Ślendzińskiego — to bliscy krewni poprzednich dzieł artysty. I ujęcie i technika nie uległy żadnym zmianom. Synteza formy staje się tu czasami zbyt powierzchowna i uderza zbyt już łatwem ujmowaniem kształtu. Połączenie rzeźby z malarstwem w portrecie „na tle okna“ inaczej powinno być stosowane, w mojem rozumieniu. Trzeba, aby w takiem zestawieniu środków, działanie obu uzupełniało się wzajem, a nie jeden z nich stawał się echem drugiego. Światło uplastycznia, cieniuje bryłę płaskorzeźby i, zależnie od jego źródła, inaczej układa się gra ciemnego z jasnem na bryle, gdy tymczasem światłocień obrazu, będąc tylko złudzeniem, jest na stałe umiejscowiony przez malarza. Połączenie więc rzeczy niestałej ze stałą (Ślendzińskiego wszystkie wgłębienia płaskorzeźby są podcieniowane farbą) nie wydaje mi się racjonalne. Tem nie mniej trzeba podkreślić zasługę artysty w podjęciu tego rodzaju poszukiwań, oraz powagę i rzadką — na tle innych dzieł — uczciwość, z jaką traktuje swą pracę.

O wartości obrazów R. Kramsztyka decydują przedewszystkiem ich zalety rysunkowe. Ma się wrażenie, iż artysta w zapamiętaniu, aby wydobyć plastykę twarzy (pojęta rysowniczo, a nie rzeźbiarsko, jak u Slendzińskiego) chwyta wkońcu na pendzel pierwszą lepszą farbę, choć zaczynając pracę miał również założenia kolorystyczne. W rezultacie obraz jest postawiony rysunkowo, ale brudny.

Rafał Malczewski wystąpił z obrazem, dość typowym dla jego *genre*'u, słabszym jednak od tych, jakie oglądaliśmy na jego wystawie zbiorowej. Zwłaszcza drzewko w „Zachodzie“ jest co się zowie puszczone.

Wszyscy wiedzą, że Tymon Niesiołowski to człowiek utalentowany, natomiast nikt nie wie, po co Niesiołowski raz po raz imituje rozmaite sławy paryskie. Teraz pomieszał Braque'a z Picasso'em (pewnego okresu) i jest zapewne zadowolony.

Pani Pokrzywnicka dała dwie kompozycje w stylu żurnalowym. Koloryt brudno - zgniły.

Prof. Skoczylas pokazał cztery akwarele, oparte na motywach huculskich.

Dwa pejzaże Karmańskiego wyróżniają się świeżością i siłą barwy — malowane szeroko i bez pretensji. Piękne pejzaże zademonstrował także Arct, potrącając w nich zlekka o Jędrzejewskiego. Bartoszewiczowi za temat krajobrazu posłużył motyw, tak popularny w malarstwie i grafice francuskiej końcu XVIII-go i początku XIX-go wieku, mianowicie dekoracyjna gęstwa drzew, przetkana mżącem światłem. Obraz byłby lepszy, gdyby malarz nie obramował sylwety drzewnej z każdej strony jednakowym marginesem nieba.

St. Dauksza, wilnianin, dał także pejzaż, widok starego Wilna (Kościół OO. Misjonarzy), opracowany pieczołowicie i rozmyślnie utrzymany w stylu *à la* Canaletto. Pozatem zanotować wypada pejzaże Hufnaglówny, Leonharda i Grabowskiego Stanisława.

Najpoważniejszymi przdstawicielami malarstwa bardziej modernistycznego, z pewną skłonnością do bezprzedmiotowości, są Kostanty Mackiewicz i Mieczysław Schulz. Nie wprowadzając do swych utworów, w zestawieniu ze sztuką Zachodu, jakichś specjalnych inowacyj, wyróżniają się jednak wśród całej plejady wystawców poważnem i samodzielnem przemyśleniem rozwiązywanych problematów. Taki stosunek do sztuki musi budzić szacunek, chociażby nawet jej utwory nam się nie podobały.

K. Mackiewicz umie różniczkować efekty faktury i posługiwać się niemi w ten sposób, aby wprowadzić barwę w stan wibracji i wydobyć z niej *maximum* siły i świetności. Jego najlepsze płótna, piękne i silne w kolorze, odznaczają się także zaletami kompozycyjnemi.

Kompozycje Schulza są odpowiedzią na pytanie: co trzeba zrobić, aby obraz był p r a w i d ł o w o namalowany? Autor, tłumacząc, dlaczego postąpił tak, a nie inaczej, dowiódłby nam zapewne swych racyj i musielibyśmy się z nim zgodzić, inna sprawa, czy przy tem nasza strona emocjonalna doznałaby takich podrażnień. Wydaje mi się, że Schulz bierze np. kolory zielony i czeswony, bo w i e jak trzeba zestawiać zimne z ciepłem; czy to będzie zestawienie brzydkie, czy piękne, to już dla niego jakby sprawa drugorzędna. W sprzeczności z takiem podejściem intelektualisty jest forma postaci, traktowana w sposób widoczny „na wyraz“, przy pomocy ekspresyjnej deformacji kształtu.

Oddzielną salę zajęły prace uczniów prof. Kowarskiego i Pekalskiego i ich, że się tak wyrażę, sympatyków. Sala przedstawia się dość jednolicie, a nawet jednostajnie — wydaje się, iż dla autorów tych prac nie istnieją w sztuce żadne inne zagadnienia oprócz kolorystycznych. Zacieśniając tak krąg mozliwości, nawet w obrębie barwy poruszają się niemal jednakowemi szlakami, wytyczonemi oddawna przez Van Gogh'a i Cézanne'a, jednocześnie jakby nie dostrzegając drogowskazów obu: pierwszego w kierunku ekspresji, drugiego w kierunku organizowania kształtów. Wszystko to możnaby in zresztą wybaczyć, gdyby wykazali się usiłowaniem nowego podejścia do rzeczywistości i jej ujęcia, co przedewszystkiem stanowi o indywidualności. Usiłowania te widać w pracach jednego z ich mistrzów, prof. Kowarskiego, który stara się swe dzieła, poza postawieniem ich strony malarskiej, nasycić pewnym wyrazem.

Pozatem wyróżnia się portret własny Jana Wodyńskiego, obok zalet barwy, dobry w charakterze.

WIKTOR PODOSKI

TEATR

„ZBYT PRAWDZIWE, ABY BYŁO DOBRE“

„TEATR POLSKI“, dając się wyprzedaić tylko Ameryce, a więc pierwszy w Europie, pierwszy nawet przed Anglją, wystawił najnowszą, niedrukowaną jeszcze sztukę siedemdziesięcioszęścioletniego autora — G. B. Shawa. Słuszna ciekawość sprowadziła tłum publiczności na premjerę. Ciekawe było przecie, co jeszcze wymyślić potrafi ten osiemdziesięcioletni już blizko, najwybitniejszy z żyjących pisarzy dla sceny; co nowego powie niezmordowany agitator? Plotka głosiła, że tematem sztuki jest kryzys współczesnej cywilizacji europejskiej.

Egzamin z młodzieńczości autor zdał doskonale. Przedstawienie przekonało o tem najdowodniej. Któryż z młodszych, z najmłodszych adeptów sceny potrafiłby okazać taką werwę intelektualną, taką elastyczność myśli, takie prawdziwe zainteresowanie wysuwanemi tezami? Wszystko to są przewagi niepospolitego umysłu. Ile dowcipu! — nietylko słownego, ale i sytuacyjnego, jaki nerw komedjowy, nawet w tej ostatniej, często dłużącej się sztuce! Jakie przytem postępowe nauki! Choćby ta lekcja, jak nie szanować siwych włosów — ta matka, przytomniejąca i zrzekająca się swoich praw rodzicielskich i praw należnych wiekowi, odkąd parasolką oberwała po głowie! Rzeźki zaiste sceptycyzm u tak sędziwego pisarza!

Pod koniec trzeciego aktu usłyszałem jednak z krzesła za sobą czyjś szczery szept: „Jakie to głupie!“. Była to

naturalna i rozsądna reakcja. Tak pochopne wystawienie tej właśnie sztuki Shawa w Polsce nie miało sensu. Pouczające mogło być w gruncie rzeczy tylko dla badaczy Shawa i specjalistów od zagadnień międzynarodowych. W umysłach szerszej publiki i nawet, powiedzmy, większości krytyków, wywołać mogło tylko uczucie lekkiego ogłupienia.

Właśnie w kołach krytyków zbyt pośpiesznie zgodzono się, jeszcze przed premjerą, że treść sztuki obracac się będzie około kryzysu cywilizacji europejskiej. Tymczasem Shaw okazał wiele odpowiedzialności pisarskiej w tem, że ani razu w całej sztuce nie użył słowa „Europa". Skądże ta bezsensowna prezumpcja, że Shaw jest pisarz wszechludzki, uniwersalny? Wcale nie ma do tego pretensji. Z całego sposobu myślenia wyraziciel prowincji angielskiej, pisarz co się zowie „regjonalny". Nigdy zaś ta prowincjonalność umysłu nie jest więcej widoczna, niż wtedy, gdy pisarz zapuszcza się w dyskusje na tematy ogólne. Rąbiąc kazania w stylu pacyfistycznym, nie przestaje być w każdym calu przedstawicielem prowincji umysłowej angielskiej. Dyskutuje z największą żywością umysłu — ale zagadnienia, których znaczenie i cały sens zamyka się właściwie w zaczarowanym kręgu tej prowincji. Poza nią Shaw nie jest właściwie zrozumiały. Największego talentu pisarz z luminarzy prowincji, ale niema drugiego autora, którego twórczość tak często bywa opacznie rozumiana poza swoją ojczyzną. Jak nieskończenie inaczej przyjmuje taką „Świętą Joannę" Shawa publiczność polska, a publiczność angielska! Polska widzi w utworze świadectwo kultu Shawa dla bohaterki, angielska czyta przedewszystkiem potępienie dla Kościoła, który tak niezmiernie chytrze pozbył się Joanny, a potem ją kanonizował!

Shaw—to Irlandczyk, lecz nie Irlandczyk z większości katolickiej, ale Irlandczyk protestant. To o formacji myślowej dużo mówi. Mniejszość protestancka w Irlandji zacietrzewieniem i ciasnotą umysłową prześciga znacznie nawet protestantów z głębokiej prowincji angielskiej. Dlatego Shaw, pomimo niektórych cech irlandzkich, krojem umysłu jest bliski angielskiemu sekciarstwu, pod wielu względami niezrozumiały zupełnie krajom cywilizacji katolickiej, gdzie na wiele zagadnień wszyscy mimowoli patrzą z zupełnie innego punktu widzenia.

Walki djalektyczne, miescowe szokingi i specjalne aluzje, bardzo aktualne na angielskim terenie, na publiczności premjerowej zrobiły trochę niesamowite wrażenie popisów akrobatycznych. wykonanych w powietrzu, bez żadnego punktu oparcia. Chwilami odnoszono wrażenie wręcz przykre, jak przy znajomych popisach pseudo-Europejczyków. Chwilami zdawało się, że ze sceny mówi tylko stokroć dowcipniejszy Słonimski, inteligentniejszy Winawer. Pomyłka. Mówił pisarz niezmiernie mocno związany z angielską rzeczywistością, w jej stałości znajdujący niezbędne oparcie dla swych koziołków. Widowisko w gruncie rzeczy było przykładem ekspansji angielskiego prowincjonalnego nacjonalizmu. Cytowano ze sceny Bunyana, wygłaszano kazania pacyfistyczne w popularnym stylu *League of Nations Union*. Warszawa słuchała tego pierwsza, klaszcząc i trochę głupiejąc. To ma być „zbyt prawdziwe, aby było dobre?" Na myśl przychodziło, jak uniwersalnym pisarzem jest w porównaniu z Shawem—Chesterton.

Bardzo trudne było to przedstawienie dla aktorów, którym też niełacno było złapać grunt pod nogami. Zważywszy to, trzeba uznać, że sztukę zagrano bardzo dobrze i wyreżyserowano pomysłowo. Przekład p. Florjana Sobieniowskiego bezwątpienia staranny, przypomniał, jak trudną rzeczą są przekłady dobre. Niezawsze był dość celny i prosty— mówi coś o tem sposób, w jaki tłumacz uporał się z tytułem.

W. J. C.

FILM

ATLANTIC: „Człowiek, którego zabiłem", reż. E. Lubicza. Młody Francuz w czasie wojny zabił młodego Niemca. Niemiec skonał na jego rękach, pisząc ostatni list do rodziców. Obaj, Francuz i Niemiec, kochali muzykę. Zawarto pokój. Młody Paul nie może jednak znaleźć spokoju: prześladuje go widmo zabitego, dręczy pamięć popełnionego czynu. Spowiada się, dostaje rozgrzeszenie, zwierza się spowiednikowi z zamiaru odnalezienia rodziny zabitego. Jedzie tam—do małego miasteczka niemieckiego—nie wiadomo właściwie w jakim celu (pierwsza niejasność scenarjusza: co to rodzicom pomoże gdy poznają sprawcę śmierci ich syna?). Rodzina: ojciec doktór, matka, narzeczona poległego. Żyją, ale życie ich po śmierci ukochanego jest tylko wegetacją. Zjawia się Paul z zamiarem wyznania prawdy (przedtem już kilkakrotnie złożył kwiaty na grobie zabitego); doktór dowiedziawszy się, że ma przed sobą Francuza, wskazuje mu drzwi. Wchodzi narzeczona i poznaje w nim tego, który był na grobie młodego żołnierza. Sytuacja ulega zasadniczej zmianie. rodzice widzą w Paul'u przyjaciela zmarłego. Paul nie ma już siły na wyznanie prawdy, zaczyna kłamać, opowiada o Paryżu, gdzie rzekomo kolegowali. Młody człowiek staje się codziennym gościem w domu doktorostwa, pokochali go, zastąpił im jakby zmarłego syna, młoda dziewczyna też go kocha. Paul, który zabrnął w tę sytuację, chce jednak wkońcu wyjechać, przedtem wyznaje dziewczynie prawdę, chce to samo powiedzieć doktorostwu, młoda panna nie dopuszcza do tego: „Chcesz zniszczyć ich życie po raz drugi" — woła— „musisz zostać i być dla nich synem". Paul zostaje nazawsze.

Opowiedziawszy treść filmu, stwierdzamy niejasne postawienie sprawy i w końcu scenarjusza. Jakto, ten Paul, chłopak niewątpliwie przewrażliwiony, człowiek bez kompromisu, nie uznający różnicy między zamordowaniem, a zabiciem kogoś na wojnie, będzie się czuł jak rybka w wodzie, w kąpieli codziennych kłamstw? Można się zgodzić na dobrodziejstwo kłamstwa z litości, ale tu sprawa jest daleko bardziej skomplikowana. Paul jest radością w ponurem życiu doktora, ale zdobył jego miłość przy pomocy o s z u s t w a, będzie żył w cieple tego uczucia n i e p r a w n i e. Rozwiązanie całej kwestji niełatwo sobie wyobrazić, ani uzasadnić, to też reżyser tego nie uczynił, kończąc rzecz na decyzji Paula. Film wyreżyserowano niesłychanie pieczołowicie; racje artystyczne do tego stopnia górują tu nad racjami natury moralnej — mimo iż widzowi filmu pacyfistycznego może się wydawać odwrotnie—że publiczność wcale nie spostrzega komplikacyj etycznych, o których wspomniałem.

Wiele scen najlepszych zmontowano na zasadzie kontrastowania treści, często wzrokowej i dźwiękowej, np.: triumialny marsz wojska sfotografowano od dołu, poprzez kikuty stojących na pierwszym planie inwalidów, dalej: s ł y s z y m y słowa kaznodziei o miłości i pokoju, jednocześnie w i d z i m y szable siedzących w stallach wojskowych; w i d z i m y szpital, tabliczkę z napisem „cisza!" i s ł y s z y m y huk wystrzałów armatnich na wiwat z powodu zawarcia pokoju.

Aparat operatora wykazał dużą ruchliwość i dbałość w skomponowaniu objętych polem widzenia fragmentów. Gra aktorów, zwłaszcza starszych (matka, ojciec) na bardzo wysokim poziomie.

*

Pan: „Akordy miłości" reż. Harry Lachmans.

Właściwy tytuł filmu (angielskiego), według utworu Tomasza Hardy, brzmi: „Pod zielonym jaworem". Jest to czarująca sielanka, zaprawiona dobrodusznym humorem, który ją strzeże od sentymentalizmu. Humor ten zasługuje na analizę: nie ma on nic wspólnego z chaplinowskiem balansowaniem między smutnem i wesołem, ani z dwojakiem obliczem zdarzeń, gdy smutne dla bohatera filmowego niepowodzenia, innych rozśmieszają. Taki humor płynie z pogody ducha, a źródłem jego jest miłość do świata i ludzi. Miał go u nas Prus, a w Anglji Dickens, dlatego może atmosfera filmu przypomina nam nieco Pickwicka: wszystko tu jest traktowane poważnie, nawet śmiesznostki. Reżyser znakomicie podobierał typy śpiewaków wioskowego chóru, bohaterów nieskomplikowanej historji, dalekiej od zawiłych intryg, a jakże przytem wzruszającej w swej naiwnej prostocie. Zdjęcia soczyste i bardzo malarskie.

Nad program śliczna bajeczka marjonetkowa Wł. Starewicza. Całość odpowiednia dla dzieci, młodzieży i dorosłych

KANDYD

Na skutek licznych telefonicznych żądań naszych prenumeratorów, dotyczących, z powodu ich wyjazdu, rozpoczęcia wcześniejszego inkasowania prenumeraty za kwartał III-ci b. r., komunikujemy, że ogólne inkasowanie możemy rozpocząć najwcześniej 20 b. m.

Prosimy ewentualnie przekazywać należność za pośrednictwem PKO. konto 3105.

Administracja

OFENSYWA

PRO DOMO SUA

(LISTY ZMARŁYCH)

I

Stanisław Witkiewicz. Zakopane r. 1903.

...CZYSTO rozumowe koncepcje nie są dźwignią czynu, dopiero towarzyszące im uczucia wywołują czynne, twórcze przejawienie się ludzkiej myśli. Satyra też jest środkiem wywołania wrogich uczuć dla osądzonych krytycznie rzeczy, ludzi, zjawisk życia spółczesnego i wrogich uczuć, bez których sąd taki pozostałby biernem poruszeniem myśli, rozwiązaniem logicznem czysto umysłowego zagadnienia bez żadnych rzeczywistych następstw w życiu. Wobec tego, co się dzieje w świecie ludzkim, nie podobna nie pisać satyry niemiłosiernej, bezwzględnej, złej, jadowitej, szyderczej, okrutnej, bolesnej, żrącej i tragicznej — trzeba tylko żeby ona wychodziła zawsze z najwznioślejszego stanowiska, żeby miała dumę bohaterów, walczących tylko z silniejszymi, żeby pluła tylko na to, co napewno warte oplucia, szarpała tylko to, co napewno zasługuje na zniszczenie, żeby przedmiotem jej chłosty był fakt napewno dowiedziony, żeby jej sąd był zawsze prawdą, żeby ten bicz, którym ona smaga, był upleciony z purpury i złota... Dokończenie rozmowy, którą kiedyś z Sz. Panem prowadziłem.

II

Andrzej Niemojewski. Warszawa, dnia 12 grudnia 1918 roku.

Kochany Panie Adolfie! Bardzo Panu dziękuję za wyrasowanie mojej pisarskiej mierności wobec tego duchowego betko-pętelkostwa, które jurnie a durnie chciało mnie, starego wróbla, zamknąć do swej republikanalskiej klatki, zdradzając się nieopatrznie z tym, iż jako wyranżerowana inteligencja, bardziej się boi pisarstwa, niż paskarstwa. Ale widocznie łatwiej im było wyrwać dziesięciu towarzyszów z Pawiaka, niż mnie z pośród niezrównanej ludności warszawskiej, która, towarzysząc mi potym w pochodzie, nagle dostała jakgdyby Matejkowskich twarzy. Z tą pyszną ludnością możnaby zdobyć nieśmiertelność. Nie uwierzycie, jak jestem rad, że Wasze z błyskawic złożone *Liberum Veto*, miast brać tę hołotokrację tragicznie, potraktowało ją zgóry, jak rozwierzgane wieprzoosielstwo. Znam te dudki jarmarczno-patetyczne, te socjo-simje, siedzące na katarynkach swej wymowy i ogonami pokręcające ich korby, a nie umiejące nawet oryginalnie pokazać języka, które dotąd, jako „nielegalne", więc nietykalne, uchodziły z nieruszonym futrem z pod chłosty krytyki, wszystkich natomiast przedrzeźniając i oplując. Po raz pierwszy spotkali się z tak parnasowskiem a tak zasłużonem kopnięciem, przeto wyobrażam sobie, z jak konfuzyjnem zdumieniem trzymać się muszą za znieważone części swoich kadłubków. Winszuję Wam i całej redakcji! Życzę Wam dalej tak wezuwjuszowego humoru, tego apolińskiego szyderstwa i tej bezgranicznej pogardy, z jaką smagacie to intelektualne kanalstwo, obełgujące najbezczelniej naiwno-zachwytliwe robociarstwo. Przypuszczam, że i tam w dole świetna Wasza satyra poskutkuje i że przyczyni się znakomicie do zdemaskowania tych trzeciopiętrowców, kulturą swą sięgających epoki trzeciorzędu. Bądźcie zdrowi i bijcie dalej, bo jest w co bić.

Wasz (—) Andrzej Niemojewski

III

Andrzej Niemojewski. Warszawa 6. II. 1921.

Kochany Panie Adolfie! Wczoraj otrzymałem i natychmiast jednym tchem przeczytałem Pański „Pogrom", ofiarowany mi z tak piękną a niezasłużoną, doprawdy, dedykacją. Bardzo Pan dobrze zrobił, publikując tę serję dawniejszych swoich artykułów politycznych z objaśniającą przedmową, kiedy to, co zawsze z goryczą wspominać będę, wskutek przeraźliwego ucisku cenzury niemieckiej, rozmaita hołota politykarska, zupełnie nie licząc się z obezwładnioną prasą, niestworzone wyrabiała rzeczy, na wszystko sobie pozwalając. Pięknie to z Pańskiej strony, iż Pan wobec historji zaświadczył, iż przecież istniała pewna grupa pisarzy, która, wytrwawszy na stanowisku, starała się wszelkiemi siłami podtrzymać opór i ducha stolicy, walcząc na dwa fronty, z Niemcami i ugodowcami. Te ciężkie czasy poderwały mi zdrowie. Aczkolwiek artykuły Pańskie poruszają rzeczy w części przebrzmiałe, jak Pan powiada, lecz świetność pióra Pańskiego ożywia je. Więc nietylko historyk będzie to czytał, ale, jak sądzę, także publiczność, gdyż przeszłość nieraz pokutuje w teraźniejszości. Z dedykacji widzę, że moi wydawcy, stosownie do mego życzenia, przesłali Panu egzemplarz mej książki „Dawność a Mickiewicz". Nie mam naturalnie pojęcia, jak się ta rzecz przedstawi Panu, więc powiem tylko, że jest to owoc 23 lat żmudnej pracy naukowej, ujęty raczej w aforyzmy, niż wywody, gdyż trudno na sposób szwabski w dziesięciu tomach rzecz wykładać *„gründlich"* aż do znudzenia. Ale gdyby Pan zechciał kiedy wejść do mego laboratorjum i bodaj rzucić okiem na to, co taki polski *„Privat-gelehrter"* może w swej pracowni zgromadzić może Pan przyznałby, że nietylko nie ustępuję szczęśliwym badaczom zagranicznym, ale mam prawo z nimi rywalizować, jak zresztą sam Pan, jako pisarz, wie, że polskie talenty pisarskie niejednokrotnie przewyższają zagraniczne.

Życząc Panu najlepszego nastroju w tych dla nas nowych warunkach, pozostaję zawsze Panu oddany

(—) Andrzej Niemojewski

IV

Franciszek Rawita-Gawroński. 24 luty 1921.

Szanowny Panie. Ponieważ Sz. Pan tak odważnie i po obywatelsku walczy z naszą korrupcją polityczną, pozwalam sobie przesłać Sz. Panu garść materjałów do oświetlenia działalności p. . . . . którzy na nieszczęściach Polski dorabiają się sławy i fortuny.

Przepraszam, że acz nieznajomy, śmiem Sz. Panu załączoną garść materjałów przesłać i pozostaję z szacunkiem dla Pańskiej odwagi obywatelskiej.

V

Juljan Adolf Święcicki. Warszawa 15. XII. 1926.

Wielce Szanowny i Kochany Redaktorze.

Nie wychodząc z domu od dłuższego już czasu z powodu złego stanu mego zdrowia i fatalnej aury, nie mogłem niestety uczestniczyć w bankiecie, zapowiedzianym przez „Gazetę Warszawską Poranną" ku uczczeniu Waszej, Kochany Jubilacie, 25 letniej pracy literackiej i dziennikarskiej, tak wyjątkowo świetnej i zbawiennej dla Polski, która niestety posiada bardzo niewielu takich, jak Wy, przezacny Redaktorze, odważnych, prawdziwie rycerskich i niestrudzonych bojowników, borykających się co dnia z nawałą wewnętrznych wrogów Polski, sromotnie przez nich zabagnionej.

Oby w następnem 25-leciu ta błogosławiona działalność Wasza, Kochany Redaktorze, nie słabnąca ani na chwilę, promieniowała dobroczynnie i nadal po całym kraju potężnym talentem Waszym, bogatą wiedzą i odwagą, która druzgocze bastjony wrogów, usiłujących zaprzepaścić w rozkładowej, plugawej działalności swojej byt niepodległej, cudem wskrzeszonej Ojczyzny.

Wszelakich błogosławieństw Boskich i ludzkich życzy Wam z głębi serca, Kochany Jubilacie, szczerze oddany, bliski już grobu, a niestety całkiem przez Was zapomniany.

Podaje ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Wiec ludowy w Łapanowie (pow. Bocheński) w dn. 5 czerwca nie doszedł do skutku, ponieważ obawiano się, żeby kto z uczestników nie zachorował na dyfteryt. Pomimo to, jak donoszą dzienniki, trzech chłopów, którzy do Łapanowa przybyli, zmarło, jeden walczy ze śmiercią, trzynastu jest ciężko chorych, kilkudziesięciu zaś lżej rannych. „Policja dokonała na miejscu szeregu aresztowań" — tak kończy się komunikat o tem osobliwem zdarzeniu.

•

Jednocześnie z wypadkami w Łapanowie odbył się wielki zjazd stronnictwa BB „w terenie" — w Białymstoku. Na zjeździe tym, po przemówieniach takich mężów stanu, jak hr. Wielowieyski, wypowiadających wojnę wszystkim, którzy do BB nie należą, uchwalono rezolucję, wzywającą społeczeństwo do zjednoczenia się i zgodnej pracy. Druga rezolucja wypowiada się przeciwko duchowieństwu katolickiemu, które rzekomo walczy z ideą przysposobienia wojskowego (Strzelec).

W Białymstoku nikt szczęśliwie nie zachorował.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.